



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. Na Prowincyi rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. We Lwowie kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. W Krakowie kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. W Poznaniu kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

TREŚĆ: Zabytki poezyi bułgarskiej. — Ustęp z pamiętnika młodej panienki (dokończenie). — Ostatnia wyprawa amerykańska do północnego bieguna (dalszy ciąg). — Z pod naszej strzechy. — Przegląd literacki. — Wiadomości z kraju. — Wiadomości z zagranicy. W Dodatku: Helena Middleton, przekład z angielskiego (arkusz 11).

ZABYTKI POEZJI BULGARSKIEJ.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Bulgarya zwróciła dziś na siebie oczy Europy. Nie dawno jeszcze, kraj ten przyciśnięty od czterech wieków jarzmem tureckim, znany był tylko filologom i badaczom zamierzających dziejów, ogół wcale się nim nie zajmował. Wiedzano zaledwie że w VII wieku koczownicza horda Bulgarów, skutkiem kataklizmu dziejowego, pomknęła od Wołgi nad Dunaj, że zatknęła namioty u podnóża Bałkanów w pośród tubylców Słowian, przyjęła od nich język, a w zamian narzuciła im nazwę i ugruntowała państwo. Wiedzano, że ten lud barbarzyński, choć podbojów i łupu, niepokoił Carogród ustawicznymi napadami, że wkrótce potem, złagodzony w obyczajach, wpływem religii chrześcijańskiej, zajaśniał chwilę w X wieku, ale w następnym popadł już w jarzmo byzantyjskie, później zaś powstawał na nowo, aż utonął w krwawej powodzi ottomańskiej.

Tyle zaledwie ogół wiedział o Bulgarach. Filologowie tylko trudnili się nimi, badając ubogi ich język, pełen tureckich i greckich naleciałości,

a tak skażony, że zatracił nawet wielką część form gramatycznych. Nikt nie domyślał się iż w tym ubogim języku ukrywają się żywe skarby domowych tradycji, zapewniające przyszłość owemu ludowi najbardziej pogardzonemu, z pomiędzy wszystkich plemion przyciśniętych jarzmem muzułmańskim.

Przed laty około dwudziestu, pochwycono wreszcie te złote strzępki. Odkrył je pierwszy starożytnik Werkowicz. Z ust poturczonych Bulgarów, ukrytych w wąwozach Rodopu, wydobył on niezliczone pieśni i obszerne nawet poematy, w których odwieczne myty łączą się z tradycją dziejową. Wieść o tem rozbiegła się po Europie i wywołała zacięte spory filologów. Podczas gdy jedni przyklasnęli gorąco odkrytym poezjom, widząc w nich dowód żywotności zapomnianego w dziejach ludu, inni widzieli w nich proste oszustwo wymyślone w celach politycznych.

Profesor Chodźko w roku 1873 obrał te pieśni za przedmiot wykładu, z katedry kolegium francuzkiego. Słuchaliśmy tego wykładu z najwyższym zajęciem; spisywaliśmy wiersz po wierszu owe epopee, w miarę jak je profesor tłumaczył z bułgarskiego tekstu. Nie wchodząc w to, czy owe utwory sięgają tak głębokiej starożytności, jaką chce im nadać zagorzały słowianofil Werkowicz, musieliśmy wraz z profesorem uznać ich oryginalność i dziwnie poetyczny urok. Kiedykolwiek powstały te pieśni, są one zawsze żywym wyrazem geniuszu narodowego, ową „arką przymie-

rza, między dawnymi a przyszłymi laty, której lud powierza, swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.”

Obok epopei mytycznych, wśród których błyszczą poemat o Urfenie czyli Orfeuszu bułgarskim, spowinowacony blisko z greckimi tradycjami, zwrócili uwagę naszą trzy epopee historyczne. Bohaterami ich są trzej carowie bułgarscy: Krum, Boryl i Symeon. Pierwsza z nich, pokazuje lud ten w całej dzikości barbarzyńskiej, pełen jednak szlachetnych popędów. Słodki wpływ kobiety, oddany tu z nieporównanym wdziękiem. Przedmiotem dwóch następnych epopei, o carze Borylu i Symeonie, zacięta walka pogaństwa z chrześcijaństwem, zakończona tryumfem krzyża.

Pierwszą z tych epopei, jako najcharakterystyczniejszą ze wszystkich, przytaczamy tu w treści.

Rzecz rozpoczyna się w Pereasławiu, stołecznym grodzie carów bułgarskich.

Młody Krum, istny jastrząb spragniony obłowu, zrywa się rąco na zapasy, staje przed starym ojcem i rzecze doń z pochyloną głową:

Ojcie miły, ojcie stary,
Wiek przyciska twoje bary;
Lat ubiegło sto bez mała,
Jak w przesławnym władasz mieście,
Twoja broda posiwiiała:
Czas odpocząć tobie wreszcie.

Jam twym, ojcze, wojewodą,
Wnet drużynę zwołam młodą,
Toć utrzymam w dłoni dziarskiej,
Twój porporczek znany światu
Z szkarłatnego tkan bławatu;
Na szkarłacie car Bułgarski,
W rękę trzyma szablę krzywą,
Pod nim płąsa biegun kary,
Wicher długą miota grzywą;
Polem płynie jasna rzeka,
Do niej brózdą krew pocieka,
Po prawicy straszna Lami (*)
Paszecz rozwarła, dzwoni kłami.
Drogi ojcze, nie trać czasu,
Drży mi serce do zapasu;
Wrogi tobie cesar grecki,
Z jego mieczem, szablę zmierzę,
Wnet bizanckie runą wieże,
Na proch zgniotę ród zdradziecki.

Ojciec poskramia wojowniczy zapęd syna: pragnie by młodzian pojął wprzód krasną żonę i osadził ją w gnieździe domowem:

Krum spochmurniał, jak słup stoi,
Wzrok ma smętny, twarz bez krasy,
Ojciec prawi o dziewoi,
Onby z wrogiem szedł w zapasy!

Posłuszny syn, nie stawia jednak oporu, wola ojca świętem dla niego prawem:

Na bieguna skoczy żwawo,
Schwyci uzdę w rękę prawą,
Mknie przez pola, brnie przez rzeki,
Trzech z nim jedzie wojewodów;
Obszar ziemi zbiegł daleki,
Siedmdziesiąt zdeptał grodów;
Wciąż odwiedza króle, bany,
Spotkał pięknych sto dziewoi,
Lecz o żadną z nich nie stoi;
Widzi wreszcie gród nieznaną,
Króla Urwu to dziedzina,
Król z orszakiem w progu czeka,
Gościa ujrzał snać z daleka.
A przy królu cud dziewczyna,
Blask słoneczny z lic jej bije,
Rzęd cekinów zdobi szyję,
Złoty welon główkę słońi,
W gwiazdy suknia cała tkana,
I przystąpi do młodziana:
— Witaj w błogiej nam godzinie,
Z pochyloną rzece główką,
Gdyś do tego przybył kraju,
Wnijdź-że proszę do seraju!
Srebrny głosik z ust jej płynie,
W ślad za słówkiem zbiega słówko,
Niby pereł sznurek biały.

A Krum stoi osłupiały;
Tylko wzrokiem dziewię goni,
Żar wytrysnął mu na lica,
I przystąpi cicho do niej,
Drobną rączkę jej pochwyca,
Przed złocistym tronem stanie,
I wyrzecz: „Królu, panie,
Ja przebiegłem ziemię całą,
Wszystkie kraje, wszystkie grody,
Lecz me oko nie widziało,
Tylu wdzięków i urody.

Daj mi, królu, tę dziewoję,
Niech poślubię dziecię twoje.
Dam jej pierścień na znak wiary,
Ze szczerego kuty złota,
Car mój rodzic bardzo stary,
A po matce jam sierota;
Biedny starzec! nie ma komu
Czuwać nad nim w pustym domu.
Rzekł więc do mnie: synu miły,
W dom niewiastkę przywiedź młodą,
Jam postradał krzepkie siły,
Niech mi poda dzbanek z wodą;
Gdy ja umrę, po mym skonie,
Wam na złotym zasiąść tronie.

Król Urwu przystaje z radością na ten związek. Młoda para zamienia pierścionki, poczem Krum pośpiesza do ojca z wieścią szczęśliwą; przyszyły teść obiecuje hojnie wyposażyć córkę i wspaniale wyprawić gody; rzecze więc do odjeżdżającego młodziana:

Z mojej ziemi

Ojcu twemu hołd należy,
Skoro wrócisz z druhy twemi,
Z gronem swatów i dziewierzy,
Dar bogaty ich nie minie;
Mam ja złota pełne skrzynie,
Jest ich trzysta w mej komorze,
W dniu godowym je roztworzę,
A na posag dla dziewoi,
Siedmdziesiąt skrzyń tam stoi.
Spiesz do ojca Krumie młody,
W dom mi przywiedź swadźbę całą,
A weselne sprawię gody,
Jakich oko nie widziało.

Krum nie czeka, na biegunie
W cwał przez pola, jary sunie,
Drze się lasem, brnie przez wody,
Trzej z nim jadą wojewody,
Do Przesławia tną z kopyta,
Przybył wreszcie. Car zapyta:
„Zbiegłeś różne świata strony,
Powracasz-li zaręczony?”

— Ojcze miły — syn odpowie,
Siedmdziesiąt zbiegłem grodów,
Ugościli mnie królowie,
I trzech moich wojewodów;
Lecz mnie żadna tak dziewica,
Nie urzekła czary swemi,
Jak królowa jasnolica,
Na dalekim krańcu ziemi,
Króla Urwu cudne dziecię,
Ona dla mnie jedna w świecie.

Car radośnie skłania ucha,
W pierś wstąpiła mu otucha,
I na cztery świata końce,
Porozsyłał z pismem gońce.
Spieszą króle w cwał gromadą,
Z siedmdziesięciu grodów jadą,
Wzywa swaty i dziewierze,
Moc junaków w lot się zbierze.

Huczają bębny, gędzba dzwoni,
Młódz dosiada żwawo koni,
Swaty, druchy na ochotę,
Dmą pospołu w świrki złote (*).

Jak gołębic rój bieluchny,
Obok družbów idą druchny,
Konno, zbrojno, car po przedzie,
Sam weselny orszak wiezie;
Krum za carem na bachmacie,
W złotym hełmie, w krasnej szacie,
Za nim stąpa junak śmiały,
Ma porporzec w rękę biały.
Jadą górą, to znów jarem,
To zielonym pól obszarem,
Draż się lasem, brną po wodzie,
Droga zmusna i daleka,
Aż stanęli w Silnogradzie,
Tam król Urwu w bramie czeka.

Hoże druchny biegną rojem,
Włos królowej wiją w sploty,
Wdzięk jej cudnym kraszą strojem,
Upinają turban złoty.
W gronie dziewic panna młoda,
Do godowej idzie sali,
Mężę dziewę powitali,
Ona gościom dary poda,
Cenny bisior i bławaty,
Z złotogłowiu tkane szaty.

Długo trwały gody, długo,
Raczy druhów król wesoly,
Krasne wino płynie strugą,
Pod misami gną się stoły.

Wreszcie uczta się skończyła,
Jedzie orszak, car po przedzie,
Młodą parę do dom wiezie.
Pomogli grodów siła,
Ciagną jary zielonemi,
Patrzą: Przesław tuż przed niemi,
U wrót miasta lud się roi.
Gdy królowa to spostrzeże,
„Stójcie! woła, drużby moi,
Zaczekajcież wy dziewierze,
Niech otworzę dō mych skrzyni,
Gdy mnie ludek u bram wita,
Niech obdarzę go do syta,
Bóg mi łaski nie przyczyni,
Jeśli zamknę na klucz złoty,
One skarby i klejnoty.”

Powstrzymano muły w biegu,
A królowa z konia zsiada,
I rozmyka skrzynie rada,
Ludek stanął do szeregu.
Ona wkoło wszystkich darzy,
Niech się cieszą młodzi, starzy,
Sypie hojnie ręką całą,
Nic z wyprawy nie zostało.

Car przyjmuje króle, bany,
Rad z synowej ukochanej,
Najechał ich bez liku,
A Krum z żoną w koledniku (*),
Wita starca Bilarynu (**).

Starzec rozwarł księgę jasną,
I tak śpiewać z niej poczyną:
— O, niewiasto witaj młoda!
Zlep tu gniazdko ręką własną,
Niech w tem gnieździe kwitnie zgoda,
Niechże pisklę w niem zakwili,

(*) Tak Bułgarzy nazywają smoka.

(*) Świrka, rodzaj fletni bułgarskiej.

(*) Kolednik, świątynia na cześć bóstwa Koledy.

(**) Bilaryn kapłan i astrolog zarazem.

Niech je ujrzy car nasz stary,
Zaczem głowę w grób pochyli.

„I dla Boga mam ja dary!”
Słodko rzecz krasawica;
Pomknie stopki leciuchnemi,
Ledwie nóżką dotknie ziemi,
Złoty kluczyk w dłoń pochwyca,
I dobywa z wielkiej skrzyni,
Cudny welon złotem tkany,
I zawiesi go w świątyni,
Aż od złota błysły ściany.

A od miasta niedaleko,
Na kobiercu tam z murawy,
Zastawiono po nad rzeką:
Wielkie stoły, długie ławy,
Zatoczono kadzie wina,
Biesiadujeż tam drużyna!

Mija tydzień jeden i drugi, aż krew zakipiła
w piersi Kruma, patrzy ze wstrętem na uczującą
gawieź; włos powstał mu od grozy.

Do nich młody Krum pośpieszy,
Chmura przemkła mu po czole,
Z królów, z banów mnogiej rzeszy,
Nie zostały nikt przy stole?
Kędy wokół wzrok dosięże,
Powaleni byli męże.
Istne trupy, zbrzękłe lica,
Zwarte oczy, włos w bezładzie.
Krum na próżne patrzy kadzie,
Gniewem błysła mu źrenica,
Głośnym śmiechem parsknął wreszcie,
Śmiech po całym rozbrzmiał mieście,
Chwilę stoi zadumany,
„Biesiadować wam nie długo!
Lejcie, krzyknij, wino strugą,
Ha! wy króle! ha! wy bany!
Niech zawładnę tą dziedziną,
Wnet roześlę na kraj cały,
Z czarnem pismem listek biały,
Niech przepada nędzne wino!
Na myśl o niem drzę od grozy;
Do pnia topór sam przyłożę,
Nam posiewać raczej zboże,
Niż zabójcze sadzić łozy.
Z niemi głogiem kraj porasta,
W dymie włosów, w gruzach miasta?”

(Dokończenie nastąpi.)

U S T Ę P

Z PAMIĘTNIKA MŁODEJ PANIENKI.

(Dokończenie.)

Opowiadane szczegóły, zajęły mnie wielce; widocznie mój narzeczony obznajmiony był dokładnie z historią naturalną, kiedy bez przygotowania zrobił wykład bardzo ciekawy, dotyczący życia mało znanych stworzeń. Spojrzałam naokoło siebie, chcąc dostrzedz jakie wrażenie zrobiła na ciotce wymowa hrabiego, ale cóż to jest? Nie ma nikogo na łączce, zostaliśmy we dwoje tylko wśród prawdziwej puszczy, zdala od wzroku ludzkiego.

Jak dowiedziałam się później, ojciec umyślnie tak urządził rzeczy, aby nas zostawić sam na sam. Ciotka długo opierała się temu, samotną rozmowę narzeczonych przed ślubem, uważała za grzech wolać o pomstę do Boga; ale musiała uleść, wyraźnie objawionej woli mego ojca. Z tej właśnie przyczyny była w najgorszym humorze i rzuciła na mnie pochmurne spojrzenia.

Skoro spostrzegłam, że jestem samą z panem de Vaurieux, w pierwszej chwili chciałam ratować się ucieczką, biegnąc za ciotką, aby skryć się pod jej opiekuńczym skrzydłem, ale zatrzymał mnie błagający i pełen pokory wzrok hrabiego. Stałam zmieszana nie wiedząc co mam zrobić z tą osobą.

— Jeżeli pani chce połączyć się z panią de Grauther, natychmiast zadosyć uczynię jej życzeniu — rzekł hrabia — ale radziłbym zostać tu choć chwilę i odpocząć, bo jesteś pani bardzo zmęczona.

Wyjąkałam kilka wyrazów odpowiedzi, bez najmniejszego sensu.

— Nie wiem, panie, czy powinnam... czy to jest możliwe... moja ciotka...

Pan de Vaurieux nie pytając dłużej o zezwolenie, poprowadził mnie do wzmiankowanej ławki nad brzegiem wody.

— Boże, mój Boże! — myślałam w duszy — natchnij mnie co powinnam zrobić w tak niezwykłym wypadku, usiąść czy odejść?

Nie umiając rozwiązać tej zagadki w stanowczy sposób, obrałam półśrodek i siadłam na samym brzeżku ławki, w niewygodnej nader postawie. On stał przedemną z uśmiechem na ustach, który w owej chwili drażnił mnie wielce.

— Wyraz twarzy pani objawia wielki niepokój — rzekł z dobrocią — czyż postać moja jest tak przerażającą?

Odpowiedziałam przecząc, ale niezgodnie z prawdą, bo rzeczywiście lękałam się choć sama nie wiem czego.

Tak niezwykle położenie ogłuszało mnie, obawiałam się właściwej mi niezręczności, wyrazy więzły mi w ustach, krew uderzała do głowy, byłam czerwona jak wiśnia po swem dojrzeniu. Pan de Vaurieux widząc moje zakłopotanie, zdawał się zupełnie nie zwracać na to uwagi, ale zaczął mówić z całą swobodą o naszym pobycie w Wichy, o wspólnych znajomych, o przyjemnościach zamku Pontrillet i t. d., a zawsze zajmując z niezaprzeczoną dowcipem; odosobnienie nasze widocznie go ośmieliło: nigdy jeszcze nie był tak wymownym ani tak wesołym jak w tej chwili.

Obawa znikła a nawet zwolna nabierałam co raz większej odwagi.

— Dotychczas wszystko idzie dobrze — myślałam — oby tylko ciotka wróciła jak najprędzej.

Nie umiałam działać samodzielnie, drobna też okoliczność wprowadziła mnie w wielki kłopot.

Siedząc na ławce w ten sposób, że połowa mego ciała zawieszona była w powietrzu, dostałam kurczu w prawej nodze i nie śmiałam zrobić żadnego poruszenia, aby nie upaść na murawnik. Nie wiem czy pan de Vaurieux domyślił się tego, czy nie, dość że zwrócił oczy w inną stronę, z czego korzystając, zajęłam na ławce obszerniejsze miejsce. Wraz ze zniknięciem bólu w kolanie, uczułam się swobodniejszą, podniosłam nawet w górę spuszczone dotąd oczy i poraz pierwszy spojrzałam uważniej na twarz mego narzeczonego. Nie była ona wcale odstrasżającą, przeciwnie, bo skoro nasze oczy spotkały się, doznałam dziwnego uczucia, które jednak nie miało nic przykrego w sobie. Wi-

docznie słuchamy z większym zajęciem, skoro patrzymy na twarz mówiącej osoby, wypowiedziane też przez mego narzeczonego zdania z wdziękiem i prostotą, oddziaływały na mnie w niepojęty sposób. Zapomniałam o nieśmiertelnem *tak* lub *nie*, zaczęłam rozmawiać swobodnie, jakby w niczem nie były obrażone przepisy etykiety.

Rozmowa nasza zwolna zwróciła się od przedmiotów zewnętrznych do nas samych, stając się coraz szerszą i poufalszą. Spostrzegłam z przyjemnym aadziwieniem, że pod względem towarzyskiej przyzwoitości, pan de Vaurieux podzielał więcej zdania mego ojca, aniżeli wyobrażenia ciotki.

— Niech też pani sama powie — rzekł do mnie ze szczególnie miłym uśmiechem — czy nie jest rzeczą zadziwiającą, aby pani de Grauther trzymała nas zobopólnie w podobnym oddaleniu. Za dni piętnaście zawrzemy małżeński związek, a dotychczas wymieniliśmy oklepiane tylko zdania o pogodzie i słońcu. Jeżeli teraz nie poznamy się bliżej, to doprawdy nie wiem o czym będziemy rozmawiać po ślubie. Czy pani sobie życzy zachowywać ciągle względem mnie postawę pełną obojętności i przymusu? Na samo wspomnienie o naszych rozmowach w salonie pod baczem okiem ciotki, krew ścina się w moich żyłach. Nieprawda, że takie zachowanie się jest również nieznośnym dla pani jak i dla mnie. W sercu swem posiadasz pani wrodzoną szczerotę i pełną wdzięku prostotę, której nie zdołały zniweczyć nauki pani Grauther. Odgadłem to w pierwszym naszym poznananiu. Co do mnie, jestem pewny, że nie zrobiłem dotychczas dobrego wrażenia, uważała mnie pani za skrytą mumię z siedemnastego wieku.

Choć może w formie nieco jaskrawej, ale pan de Vaurieux określił wybornie moje o nim wyobrażenie, nie mogłam więc powstrzymać śmiechu, który objawiłam głośno, zbyt głośno nawet, a śmiał się również i mój narzeczony, uradowany, że nareszcie weszliśmy na drogę wiodącą do porozumienia.

— Odrzućmy więc maski z naszych twarzy — mówił dalej — starając się o rękę pani, musiałem koniecznie pozyskać przychylność jej ciotki, skutkiem tego ująłem me postępowanie w odpowiednią do tego celu formę. Nic więc dziwnego, jeżeli mnie pani uważała za staroświecki zabytek niepowrotnej nigdy przeszłości. W tym stanie rzeczy ułożone małżeństwo, nie mogło stanowić dla niej wielkiego powabu. Bez dzisiejszej rozmowy szła by pani przed ołtarz jak na rusztowanie, z uczuciem smutku a może i rozpacz.

Wypadało może bronić mej ciotki, również jak właściwych jej zasad dotyczących towarzyskiego pożycia, ale nie uczyniłam tego; przeciwnie miałam chęć przyznać słuszość panu de Vaurieux i chęć ta zwiększała się z każdą chwilą. Był to prawdziwy kłopot dla mnie, nie wiedziałam jakie objawić zdanie. Nadomiar złego, słońce zniżywszy się, zaczęło rzucać promienie wprost na twarz pana de Vaurieux, stojącego przedemną z odkrytą głową. Zostając dłużej w tem położeniu mógł narazić się na ból głowy, lub jaką inną ciężką chorobę. Słońce blaskiem swym zniewalało go do mrużenia oczów i widoczne było cierpienie na jego twarzy. Zostawić go dłużej w tem położeniu byłoby prawdziwym okrucieństwem, nie wiedziałam jednak co zrobić. Ławka na której siedziałam była wprawdzie zakryta cieniem, ale czy wypadało prosić przyszłego mego małżonka, aby usiadł przed ślubem tuż obok mnie. Był wprawdzie trzeci

środek zażegnania trudności, mianowicie wezwać go, aby włożył kapelusz na głowę, ale jakoś rada taka nie przyszła mi do myśli.

Ciotka dałaby mi niezawodnie wskazówkę jak należało postąpić, ale znikła gdzieś w gęstwinie leśnej, jaka szkoda, że jej nie może mi podszeptnąć. Doprawdy są w życiu nader ciężkie chwile, jeżeli nam zbywa na moralnym przewodniku. Pan de Vaurieux nagle ręką pochwyił się za głowę, jakby w niej uczył raptowny ból. Dalsze wahanie było niepodobne, szło tu o życie człowieka.

— Pani! — rzekłam z wszelką możliwą uroczystością i powagą do jakiej byłam zdolną — prawdopodobnie zmęczyłeś się pan długą przechadzką, jest miejsce na ławce, gdyby więc...

Zabrakło mi oddechu.

— Ah, jakże pani jest dobrą — rzekł pospiesznie mój narzeczony — już dawno pragnąłem usiąść obok pani, ale nie śmiałem.

Niestety! zaledwo upłynęło kilka minut, a już spostrzegłam grożące mi niebezpieczeństwo z tyle bliskiego sąsiedztwa. Powstało jakieś dziwne zamieszanie w mojej głowie i sercu, wzrok pana de Vaurieux wywierał na mnie niepojęty wpływ magnetyczny, mimo tego spojrzenia nasze były jakby związane jakąś siłą zewnętrzną, nie mogłam odwrócić od niego oczów.

Niezadługo pomieszanie ustąpiło miejsca, dziwnemu choć niezrozumiałemu dla mnie przyjemnemu uczuciu. Jeżeli nie w materyalnym, to przynajmniej w moralnym znaczeniu *decorum* było wzruszone, a groziło mu jeszcze większe niebezpieczeństwo. Chwalił piękność moich włosów, kolor i oprawę oczów, kształtną kibić... pochwały te nie robiły wcale przykrego wrażenia, ja również znajdowałam go pięknym, chociaż rzecz prosta nie powiedziałam mu tego.

Czy on jednak nie obraża zanadto przepisów etykiety?

Zbliżył się tak dalece do mnie, że prawie czuję jego oddech na mojej twarzy. Ah! gdyby to widziała ciotka, jakżeby nisko upadł w jej przekonaniu.

Pan de Vaurieux mówił długo i z wielkim przejęciem. Od pierwszego dnia oświadczył, a nawet przedtem życzył sobie porozumieć się ze mną bez świadków, bo zezwolenie ojca na małżeństwo, uważał jako warunkowe, zależne zupełnie od mego postanowienia. Nie wiem jak to się stało, ale podałam mu rękę jako dowód, że potwierdzam w zupełności zrobiony wybór. Była to wielka nieroztropność, pan de Vaurieux nie puścił jej więcej, ale okrył ją pocałunkami, a co gorsza odrzucając ceremonialny wyraz pani, nazwał mnie Zuzanną, swoją najdroższą Zuzanną i objął mnie w pól. Zaczzerwieniłam się jak piwonia, zdało mi się, że twarz moja gore płomieniem, chciałam mu zrobić wymówkę, ale nie mogłam wymówić ani słowa. Po mału jednak uspokoiłam się, oprzytomniałam, rozmowa ożywiona na chwilę nieustawała, układaliśmy różne zamiary na przyszłość i zadziwiliśmy się wzajemnie, zgodnością naszych upodobań.

Widocznie małżeństwo nasze będzie następstwem przywiązania, a nie wynikiem zimnego układu rodzinnego.

Drzewa rzucały coraz szerszy cień na murawę, promienie słoneczne przysstrajały blaskiem swym jezioro, na około nas rozłożyste konary drzew tworzyły wspaniałe ramy, po nad głowami blade sklepienie niebieskie prawie bez chmurki, i prócz nas i jaskulek nie można było dostrzedz dookoła żadnego żyjącego stworzenia.

Chcąc wyjąć chusteczkę z kieszeni dla otarcia błyszczących w moich oczach łez, namacałam wypadkiem ręką znajdujące się tam jabłka i w niewinności ducha pokazałam je memu narzeczonemu.

— Wybornie — zawołał z radością — lubię bardzo owoce, ale jedno jabłko za wiele.

Mówiąc to z silnym zamachem rzucił drugie w jezioro. Za chwilę nadeszła ciotka i wzniosła ręce w górę z rozpaczą, dostrzegłszy żeśmy jedli jedno i to samo jabłko, używając na przemian do oddzielania części jedynie tylko zębów naszych. Grzech nie do darowania.

Już trzeci rok upłynął od dnia naszego ślubu, prawie nie dowierzam temu, tak szybko czas upłynął. Żyjemy dosyć samotnie i dobrze nam z tem, podobni jesteśmy, jak się wyraził mój drogi małżonek, do skrzydlatej rzeszy, ścielącej gniazdeczko zdala on ludzkiego wzroku.

Moja ciotka mieszka w Wersalu, nie bywa nigdzie i nie przyjmuje nikogo. Prawidła wyższej etykiety ujawnia tylko w czasie modlitwy, szczególnie gdy kościół napełniony doborową publicznością.

Pomimo najlepszej chęci nie mogę jej przedstawić mego dwuletniego synka. Za wzorem bowiem Diogenesa, uważa chłopczyzna zbytłowe sprzęty za niepotrzebne i lubi palcami kłaść jądło do buzi. Podobne uchybienie etykietie mogłoby przyprowadzić ciotkę o chorobę.

Pocziwa kobieta kochała mnie i kocha szczerze, ale sceny z jabłkiem dotąd mi darować nie może.

OSTATNIA WYPRAWA AMERYKAŃSKA DO PÓŁNOCNEGO BIEGUNA.

Wedle danych, zaczerpniętych z dzieła

W. de Fonville,

ulożył

B. Z. B.

(Dalszy ciąg.)

Wysunięte ku Północy i Południowi lodowe góry, może w niedalekiej przeszłości stanowiły jedną całość, ale skutkiem stopniowego podnoszenia się ziemi w tej miejscowości, rozdzielone na dwie części w kształcie półkuli, stanowią doskonałą ochronę od zimnych prądów powietrza, tworząc pewnego rodzaju oazę wśród lodowej pustyni.

Po rozpoznaniu tych okolic, uczestnicy wyprawy wrócili do warowni Conger, zmęczeni bardzo i z pozostawiającym wiele do życzenia stanem zdrowia. Ale podtrzymywała wszystkich nadzieja prędkiego powrotu do ojczyzny, gdyż nie wątpiono ani na chwilę, o przybyciu nowej wyprawy, przyrzeczonej urzędownie i objętej warunkami zrobionego układu. Wszyscy więc byli najlepszej myśli, do czego przyczyniał się i widok słonecznego światła, wierającego znaczny wpływ na usposobienie moralne ludzi.

Wkrótce jednak nastąpiła zupełna zmiana w usposobieniu członków wyprawy; zapytywali niepokojnie jedni drugich, bez możliwości udzielenia odpowiedzi, dlaczego nie przyplłynął okręt zapowiedziany na rok 1882? Dla jakiej przyczyny rząd Stanów Zjednoczonych nie dotrzymał uroczystości zrobionego przyrzeczenia? Spojrzenia wszystkich biegły już nie ku Północy lecz ku Południowi, z kąd oczekiwano wiadomości z ojczyzny, wzywającej do powrotu po tak długiej i niebezpiecznej wyprawie. Na nieszczęście nadzieja ożywająca długi czas serca wszystkich bez wyjątku, gasła stopniowo; mimo wytężonego wzroku zawsze w jednym i tym samym kierunku, mimo zbliżających szkieleń nie dostrzeżono zbawczego dymu parowej maszyny zwiastującego wyzwolenie. Stęskniony do kraju i rodziny major Greely, postanowił udać się na spotkanie zapowiedzianego okrętu, w tym celu kazał zepchnąć szalupę do cieśniny i płynąć w południowym kierunku, mając nadzieję zwiastowania wkrótce osadzie pomyślniej wiadomości.

Obecnie jak i w roku zeszłym, kanał Kennedy jest prawie zupełnie wolny od lodów, drobny statek morski posuwa się naprzód bez żadnej przeszkody, ale niestety, przed sobą i obok siebie nie dostrzegają nic innego żeglarze prócz przerażającej pustyni i mimo najszczerzej chęci, nie mogą wywiesić flagi dla powitania przybywających rodaków. Rozpaczliwe myśli ogarniają wszystkich; dwa przypuszczenia równie zastraszające są możliwe: albo zapomnieni zostali zupełnie, albo też z powodu wielkich lodowisk wysłany okręt nie mógł przybyć na miejsce przeznaczenia. Tak w pierwszym jak w drugim wypadku, pozostawiono naukową kolonię, przynajmniej na rok bieżący, własnemu losowi i na majorze Greely, jako na dowódcy, spoczywał obowiązek moralnego pokrzepienia swych podwładnych, aby ich uchronić od następstw czarnej rozpaczki. Nie było innego środka jak zachowywać ściśle ustanowiony w roku zeszłym porządek, rozpoczęto więc powtórnie naukowe wykłady i towarzyskie rozrywki, aby o ile możliwości skrócić czas przez odpowiednie zajęcia.

Wszystko odbywało się po dawnemu, tylko może modlitwa była dłuższą i gorętszą niż zazwyczaj, gdyż w chwilach niebezpieczeństwa, nawet bezwyznaniowcy przypominają sobie o rządzącej światem Opatrzności.

Mimo jednak religijnej pociechy i wszelkich możliwych usiłowań majora, moralne usposobienie mieszkańców warowni Conger było odmienne niż w roku zeszłym.

Radość spowodowana odkryciami Lockwooda zacierała się zwolna w sercach i umysłach jego towarzyszy, również jak zadowolenie skutkiem zajmowanego miejsca honorowego w naukowych wyprawach, urządzonych za staraniem wszystkich prawie bez wyjątku ucywilizowanych narodów. Podziwiane kiedyś północne zorze nie bawiły więcej oka, spadające w niezliczonej ilości gwiazdy nie zwracały prawie uwagi, jak równie robione spostrzeżenia machinalnie bez zapalu, gdyż boleść płynąca z odosobnienia górowała po nad wszelkimi innymi uczuciami. Nie tylko terażniejszość ale i przyszłość przedstawiała się w czarnych barwach, nie miano bowiem żadnej rękoi, aby rok następny miał być pomyślniejszym od bieżącego. Pod wpływem zwątpienia zaczęto rozbiierać zapytanie, czyby nie było lepiej wrócić do Ameryki za pośrednictwem posiadanych małych statków morskich, aniżeli zostać na miejscu może przez długie

lata, zdala od ojczyzny i bez najmniejszej wiadomości o najdroższych sercu osobach. Powrót w tych warunkach był niewątpliwie szaleństwem, ale i cała wyprawa zasługiwała na podobne określenie, skoro ludzie posiadający wszelkie warunki szczęścia, stawiali wszystko na kartę bez żadnej prawie nadziei osobistej korzyści, prócz wedle zdania wielu, znikomej nader sławy. W podobnym stanie umysłów nie można było marzyć o nowych odkryciach, co najwyżej należało sprawdzić dokonane w roku zeszłym, aby usunąć wszelkie możliwe pomyłki.

Major Greely zlecił porucznikowi Lockwood zająć się tą czynnością. W dniu 1 Lutego 1883 r. na dwadzieścia sześć dni przed powrotem słońca, zaczął przygotowawcze prace zasadzające się na złożeniu w odpowiednich miejscach zapasów żywności. Po ukończeniu tego dzieła, wszyscy oczekiwali z upragnieniem na pierwsze promienie gwiazdy dziennej. Nadchodzi wreszcie dzień wskazany przez astronomiczne obliczenia, rachunek skuteczniejszy był właściwie i umiejętnie, ale niestety, zgęszczona para wodna w postaci chmury zakryła pierwsze promienie dobroczynnego światła, i dopiero nazajutrz marynarze pocieszają wzrok tyle ponętnym widokiem dla ludzi żyjących w ciemności od tyłu miesięcy.

Pomiędzy ludnością mieszkającą w podbiegunowych okolicach, panuje przekonanie stwierdzone, wedle ich zapewnień, wielokrotnem doświadczeniem, że pierwsze promienie słoneczne zwiastują rok pomyślny, lub zapowiadają złowróbnie różnorodne nieszczęścia. Jeżeli czas jest pogodny, niebo jasne i tarcza słoneczna ukazuje się choć cząstkowo w całym swym majestacie, jest to znak zapowiadający wielką obfitość ciał morskich, mniejszą niż zazwyczaj ostrożność białych niedźwiedzi, i zjawienie się na brzegach wyspy ciał poranionych kilku przynajmniej wielorybów. W przeciwnym razie należy się lękać wielkich nieszczęść, różnego rodzaju kłesk, wywołujących ogólną nędzę.

Wiara w ten progrostyk jest ogólna, nawet religia chrześcijańska nie zdołała jej wykorzenić. Dwaj Eskimosi: Chrystian i Edward zatrwożeni czarną chmurą zakrywającą słoneczne promienie, nie tając doznanych uczuć, wywołali ogólny przestрах. Na szczęście czynione do podróży przygotowania, zwracając w inną stronę myśl, zapobiegły nieuniknionemu w takim wypadku popłochowi.

Po urządzeniu składów żywności na przylądku Baid, a następnie Summer, porucznik Lockwood ruszył w drogę wraz z dwoma sierżantami: Rice i Brainard, uważanymi za najsilniejszych i najzdrowszych ludzi z załogi. Zabrał z sobą sanie ciągnięte przez psy w tem przekonaniu, że rozszerzy znacznie zrobione przez siebie w roku zeszłym odkrycia. Nadzieja ta zdawała się możliwą do urzeczywistnienia, gdyż mimo powrotu słońca zimno było przenikliwe, czas pogodny, prawdopodobnie więc lody pokrywały część oceanu, oznaczoną mianem Naresa, pozwalając żeglarzom stąpać bezkarnie po ich powierzchni.

Złudzenie to niedługo trwało, po sześciu dniach podróży, marynarze spostrzegli z zadziwieniem niezamarznąłą odnogę morską, przecinającą im dalszą drogę. Ze względu na zwiększający się mróz, czekali cierpliwie przez trzy dni na sformowanie lodu dostatecznej grubości do zniesienia ich ciężaru wraz z zaprzęgiem. Zawodu doznawszy najzupełniejszego, postanowili udać się brzegiem Grenlandyi do przylądka Brytanii, ale po wylądowaniu przekonali się prędko o niepodobiestwie wykonania tego zamiaru, z powodu spadzistych skał i gór

nieprzystępnych zupełnie dla podróżnych. Chcieli oni posuwać się naprzód za pośrednictwem napotkanych przesmyków i rozpadlin, ale zawsze nadaremnie, bo po chwilowem powodzeniu napotykali zawsze jakąś nieprzewycięzoną zawadę zniewalającą ich wrócić do miejsca z którego wyszli. Po kilkakrotnych daremnych usiłowaniach, uznali podróż lądem za niemożliwą i układali już zamiar skierowania swych kroków do warowni, ale sprawdzwszy stan morskiej odnogi przekonali się, że takowa zamarzała ułatwiając dalszą przeprawę. Nie tracąc czasu przebyli ją spieszenie pod wpływem obawy, aby nagła zmiana powietrza nie przeszkodziła skutecznianiu dalszej wycieczki.

Trwoga tego rodzaju nie była bez zasady, bo zaledwie znaleźli się na drugiej stronie odnogi, kiedy powstała straszliwa burza, zdolna przerazić najśmielsze umysły. Huk łamiących się lodów ogłuszał żeglarzy, uragan rzucał jak piłkami ogromnymi bryłami lodu i niezadługo zamarzała powierzchnia cieśniny.

Niebezpieczeństwo było wielkie, jeżeli prąd powietrza popchnie połamane lodowiska ku Północy, powrót stanie się niepodobnym i śmierć niezawodna. Lockwood znajdujący się w pewnej odległości od prowadzonych sani, zrozumiał dokładnie stan rzeczy i spieszenie szukał schronienia na lądzie, ale na nieszczęście nie zdołali tego uczynić jego towarzysze; ogromną krę na której znajdowali się, popychał wicher w kierunku północno-wschodnim.

Burza rozdzieliła uczestników wycieczki, Lockwood został na brzegu wyspy, zagrożony głodną śmiercią a Brainard i Rice, mimo posiadanych zapasów, prędzej lub później mogli być pochłonięci przez wzburzone fale północnego oceanu. Towarzyszące im psy, widocznie poznawszy grożące im niebezpieczeństwo, tak jak w czasie wycieczki doktora Pary, przeciągłem wyciem ujawniały dręczącą ich obawę. Niepewność trwała przez kilka godzin: ulegający częstym zmianom prąd powietrza popychał w najrozmaitszych kierunkach zgruchotane lodowiska, aż nareszcie szczęśliwym zbiegiem okoliczności, zwrócił je w kierunku brzegów na których znajdował się Lockwood. Wszedłszy na wierzchołek wzgórza śledził bystrym wzrokiem zachodzące kolejno zmiany, dostrzegłszy wracających towarzyszy pobiegł szybko na ich spotkanie, a rzuciwszy posiadany sznur dopomógł im wyjść na brzeg, co ochroniło ich od niewątpliwiej śmierci. Po naradzie zgodzili się wszyscy trzej jednomyślnie, że dalsza wycieczka w północnym kierunku była niemożliwą, że w tym stanie rzeczy należało spieszenie wracać do warowni Conger, aby niespodziane jakieś okoliczności nie stanęły później na przeszkodzie do skutecznienia tego zamiaru.

Wycieczka Lockwooda udowodniła w stanowczy sposób, o ile błędnym był upowszechniony przez kapitana Vares przesąd, o wieczność nieruchomych lodach, zalegających zwiedzoną przez niego część oceanu. Nie ma na ziemi nic stałego, nawet podbiegunowe lody ulegają czasowym zmianom; uragan oswabadza fale wodne od gniotących je lodów, i jak w tym przynajmniej razie, sanie i psy nie dały żadnego prawie pożytku.

Jakże odmienne byłoby położenie, gdyby Lockwood przesunął był szalupę po lodach, aż do stosownego miejsca do rozpoczęcia żeglugi. Kto wie czy w takim razie nie byłby okrył nazwiska swego wiekiustą sławą, rozwiązując zagadkę dręczącą od tak dawna wszystkie ludy ucywilizowane. Wido- cznie nie nadeszła jeszcze chwila do zbadania tej tajemnicy, kiedy zawsze do osiągnięcia zamierzo-

nego celu, staje na przeszkodzie jakaś nieprzewidywana zawada.

Lockwood wróciwszy do warowni Conger, postanowił zaniechać dalszych wycieczek ku Północy, ale za to wziął jako cel swych usiłowań uzupełnić odkrycia zrobione przez majora Greely w południowej stronie.

Chciał, idąc po ziemi Grinell dojść aż do brzegów zachodniej części oceanu, aby oznaczyć dokładnie jego położenie, jakoteż i stan wód znajdujących się w takowym. Major dostrzegał go tylko z daleka, ale bardzo niedokładnie, z powodu znacznej przestrzeni i zgęszczonej w powietrzu pary wodnej. Lockwood miał nadzieję przybyć do ostatnich kończyn lądu i rzeczywiście odbył tę podróż bardzo pomyślnie, bez żadnego ważniejszego wypadku. W przejściu swem odkrył górę wysoką na 1,600 metrów, której nadał miano Difficulté, ze względu na niemożność wejścia na jej wierzchołek. Obszedłszy w koło jego podstawę znalazł się nad brzegami oceanu, pokrytego w części ruchomymi a w części nieruchomymi lodowiskami. Stan rzeczy nie przedstawiał nic nadzwyczajnego, po zbadaniu tylko jednej ze skał nadbrzeżnych wysokiej na sto metrów, znalazł tam w znacznej ilości skamieniałe drzewa, będące zabytkiem bujnej roślinności w tych okolicach, jeszcze przed zjawieniem się rodu ludzkiego na kuli ziemskiej. Na sześćdziesiąt mil dalej ku Północy, znaleźli znacznie wzniesiony przylądek, któremu nadano miano Brainard, dla wynagrodzenia gorliwości sierżanta tego nazwiska będącego uczestnikiem wyprawy. W kierunku południowym dostrzeżono wyspę, nazwaną przez Lockwooda Arthur, na cześć owczesnego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Po tych odkryciach należało jak najspieszenie wracać do warowni Conger, ze względu na zmniejszony znacznie zapas żywności. Żeglarze nie zwróciwszy uwagi na tę okoliczność w czasie właściwym, zniewoleni byli ograniczyć przyjmowany posiłek do połowy, co ze względu na trudy podróży, przedstawiało wiele niedogodności. Najgorsza sprawa była z psami, dla których zabrany pokarm wyczerpnięto w zupełności; nie było innego środka jak tylko poświęcić część dla ocalenia całości, to jest zabić kolejno kilku czworonogów i ich mięsem żywić pozostałych psów, nader użytecznych w tego rodzaju wycieczkach.

Tym jedynie sposobem żeglarze zdołali przybyć do miejsca, gdzie oczekiwała na nich złożona żywność, pozwalająca im odzyskać utracone siły i ochraniająca psów od dalszego tępienia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pod naszej strzechy.

Treść: Przyjazd Patti. — Niepraktyczna cena biletów. — Jak Warszawa przyjmie śpiewaczkę. — Jej miliony i zamek w Anglii. — Jego przepych. — Nasza prasa peryodyczna. — Sprzeczność jej opinii. — Dowody na to. — Dawniej a dziś. — Instytut polski w Rzymie. — Polki nauczycielki w Londynie. — Kolonia polska w Brazylii. — Towarzystwo literackie, polskie w Londynie. — Prośba o rzeczy wychodzące z użycia.

Wątpliwość co do przyjazdu Patti, rozwiązana została. Rozgłośna śpiewaczka z ostatkami nie-

dogryzionych przez czas tonów, postanowiła wreszcie uszczęśliwić Warszawę i wydmuchać jej w dwóch ogranych i leciuchnych jak puch operach, kilka aryi znanych już nawet w występach publicznych... kataryniarzy warszawskich.

Szczegółów jeszcze nie ogłoszono, wiadomo tylko że ceny mają być ogromne, nigdy u nas niepraktykowane. Łoża parterowa ma kosztować 60 rubli, krzesło boczne 16, galerya 5 a paradyz aż dwa. Za cenę więc jednej łoży, bardzo wiele rodzin utrzymuje się u nas przez cały miesiąc.

W skromnym tem gniazdeczku, zwanem Craig-y-Nos, salon wybitny srebrzystą brokatelą, stroją wschodnie draperye i kobierce, obrazy i kosztowne dzieła sztuki, otrzymane w podarunku, jak złoty roztruhan zasiany brylantami, srebrny kuferek, ptaki z ciężkiego złota z rubinowemi oczami, różne drobnostki perłami sadzone, miniaturowy fortepian zdobny rubinami i szmaragdami, porcelana serwska, wachlarze pełne malowideł i drogich kamieni, dwa fortepiany Erarda i Stejnwaya i mnóstwo cacek jedno od drugiego kosztowniejszych. Dalej idą inne salony i saloniki, pokoje i pokoiki, sala bilardowa i sypialnia: jest przytem ogród letni i zimowy, rzeczka pełna pstrągów, murawy jak kobierce aksamitne, a wszędzie rojno i strojno, pysznie i bogato, że oczy aż bolą patrzeć na ten przepych niemal wschodniego zbytku dochodzący.

Biedactwo też takie tylko jeden podobny zamek posiadające, jakże nie wesprzeć i nie poratować? Znajdą się więc zapewne ochotnicy, co sięgną do worka po ruble.

Gdyby prasa codzienna wzięła w swę obroty tę sprawę i utrzymała się w roli jaką dotąd jednomyślnie przybrała, nie ma wątpliwości, że stojąc przy prawdzie, zbawiennie wpłynęłaby na tych co z nią jednej służą chorągwi. Ale w prasie jak wszędzie tak i u nas różnie bywa: co jedno pismo chwali to drugie gani, co jedno zaleca, to drugie potępia, a czasami zdarza się, że jedno i to samo dziś zbite na kwaśne jabłko i sponiewierane, po pewnym czasie na tych samych kolumnach wychodzi jasne, piękne, ślniące wszystkimi ponętami nieznanymi przedtem przymiotów.

Niedawno typ dziewicy polskiej, pomieszczony w „Tygodniku Powszechnym”, jedna gazeta nazwała pracą pełną wdzięku i pierwszorzędnym zalet, która w szerokich kołach znalazła najwyższe uznanie: jeden zaś z tygodników typ ten nazwał niezdatną mazaniną i jednej nitki poczciwej na niej nie zostawił. Ostatnia komedia p. Zaleskiego, tak dalece oburzyła jedną z gazet, że aż ogłosiła, iż nie pomieści o niej przeglądu krytycznego, dając tem do zrozumienia, że znalazła ją niegodną poważnej krytyki. Tymczasem inne pisma pochwalwszy tak osławioną pracę, z uśmiechem salonowej grzeczności wytknęły usterki i autora obdarzyły oklaskiem.

Niedawno także, jeden z kronikarzy tygodniowych doniósł, że obecnie ruch handlowy w Warszawie ożywił się znacznie, gdy drugi z bólem serca oświadczył, iż jest tak mały, że w wielu sklepach powydalano nawet ofycjalistów. A iluż-to poecików i prozaików, ot tak sobie, niegrzeszących wcale zbytkiem zdolności, niektóre pismo wypychają gwałtem na piedestał wielkości, zwąc ich naszymi ukochanymi piewcami, lirnikami, poetami? I bądźże tu mądrym w pośród takiego labiryntu sprzeczności posuniętych do ostateczności.

Dawniej, wierząc mi, tak nie bywało, co twierdzą nie przez zapleśniały konserwaryzm ale z po-

czucia żalu, że się tak wszystko na szkodę powszechną zmieniło.

W owych to czasach, kiedy uznano potrzebę założenia pisma poważnego, kilkunastu ludzi dobrej woli złożyło odpowiedni fundusz i zaczęło wydawać „Bibliotekę warszawską” dotąd się jeszcze od lat przeszło czterdziestu utrzymującą. Wydawcom na prawdę nie szło o zysk, tylko o szerzenie oświaty i ułatwienie wydobywania się talentów: zysków też nie było, zjadały je honorarya pierwszy raz ustanowione dla piszących przez komitet założycieli, ale ileż-to prawdziwie zdolnych i pożytecznych pracowników zajaśniało na horyzoncie ówczesnego świata literackiego!

Dziś...

Donoszą z Rzymu, że przy muzeum Kopernika, staraniem d-ra Wołyńskiego, organizuje się Instytut, składający się dotychczas z oddziału wynalazków polskich i z biblioteki historyczno-artystycznej. Celem jego ma być zaznajamianie Włochów o rzeczach dotyczących historii, nauki i sztuk pięknych w Polsce, ułatwienie polskim uczonym poszukiwań w archiwach i bibliotekach włoskich i opiekowanie się artystami przebywającymi we Włoszech. Jako zawiązek tej biblioteki stanowi dar księgozbioru przez p. Wołyńskiego, liczącego około 1,500 tomów dzieł polskich, francuzkich, łacińskich, włoskich i dokumentów historycznych przez tegoż założyciela muzeum Kopernika zgromadzonych.

W Londynie w tym miesiącu odbył się kongres nauczycielek, na którym ze złożonego sprawozdania okazało się, iż tak w Szkocji jak w Anglii znajduje się 84 Polek dających lekcye muzyki oraz innych przedmiotów, a pomiędzy nimi jest pięć uczących u rodaków własnego języka.

W Brazylii znów w prowincyi Parana, utworzyła się kolonia polska, złożona z dwudziestu rodzin zajmujących się jedwabnictwem i hodowlą owiec. Niemcy okoliczni usiłują rodakom naszym psuć handel, obniżaniem ceny swoich wyrobów, ale bracia nasi jakoś bronią się skutecznie, zgryźć się dotąd nie dali a nawet troszkę nadgryźli swych przesładowców. Mieszkańcy nowej siedziby pochodzą z okręgu Kwidzińskiego i są w części protestantami, mimo to kapłan katolicki, ksiądz Nielepsza, obsługuje wszystkich, z obopólnem całej kolonii zadowoleniem.

Od towarzystwa jednak literackiego, polskiego, założonego w Londynie w roku 1832, wieści nas doszły nienajlepsze. Powstało ono staraniem sławnego angielskiego poety, Tomasza Cambella, pod opieką jego królewiczowskiej mości księcia Sussex, i przez lat 53 niosło pomoc Polakom, którzy przed półwiekiem przeszło szukali schronienia w Anglii. Prezesami jego ciągle byli lordowie członkowie parlamentu, ludzie zamożni, wybitnie zajmujący stanowiska i obecnie jest prezesem lord Houghton, skrzętnie zajmujący się dobrem instytucji. Oprócz ofiar składanych przez panów angielskich a członków towarzystwa, odbierało takowe, zwłaszcza w ostatnich latach, szczodre a stałe datki ze strony polskiej, szczególnie od jej królewskiej wysokości Margueritty d'Orleans, księżnej Czartoryskiej, od księcia Władysława Czartoryskiego, od hr. Wł. Zamoyskiego, od ks. Adama Sapiehy i od towarzystwa dobroczynności dam polskich w Paryżu, które 100 franków wnosi miesięcznie na wsparcie najbiedniejszych weteranów w Anglii. Ze śmiercią jednak wielu dawnych członków, towarzystwo zubożało i dziś jego zasoby uszczuplone nie pozwalają nieść pomocy, jak konieczność tego wymaga, w razie nagłych chorób lub zubożenia

biednych starców, będących już w szczupłej niezmiernie liczbie i liczących po lat ośmdziesiąt wieku. Z powodu też tego uszczuplenia funduszów obracanych na ich utrzymanie i ratunek w nieszczęściu, oraz na pokrycie deficytu od lat trzech coraz bardziej zwiększającego się, rada towarzystwa odwołała się do publiczności z prośbą o pomoc stałą lub doraźną i z odsyłaniem ofiar na ręce p. I. I. Baranowskiego, sekretarza Towarzystwa, 10 Duke Street, St. James, 3 S. W. London.

Do tego kołatania o pomoc i ratunek i ja przyłączam głos o dary z ubrań wychodzących z użycia a dla różnego biedactwa wieszającego się przy redakcyi tak „Tygodnika Mód” jak i „Przyjaciela Dzieci”, bardzo drogocennych. Wszystko co zostanie nadesłane, tak dla starszych jak dla dzieci przyjmujemy z największą wdzięcznością, bo zima już wisi w powietrzu a biedaków drżących z zimna mnóstwo.

PRZEGLĄD LITERACKI.

O języku cyganów słowackich, przez d-ra A. Kalinę, docenta przy uniwersytecie lwowskim. Poznań, 1882 r., nakład Żupańskiego.

Tułające się od lat kilkuset po całej Europie plemię włóczędów, brudne i odarte, pozbawione stałych zasad moralnych, a czując nieprzewyciężony wstręt do życia osiadłego i do pracy, a przy tem uderzające regularnością rysów, przy śniadej cerze, cudnymi czarnymi oczami i posągową harmonią kształtów, obdarzone szczególną zdolnością do muzyki i śpiewu, plemię cygańskie do czasów niedawnych było zagadką dla etnografa i lingwisty. Niepewność co do pochodzenia tych koczowników bez trzód, wyraziła się w rozmaitych nazwach, nadanych im w językach europejskich. Nasze „Cyganie” z niemieckiego „Zigeuner” mogło powstać z hiszpańskiego Gitanos, bo podobno w Hiszpanii po raz pierwszy w wieku XV zjawili się Cyganie; coby zaś ta nazwa znaczyła, nie jest mi wiadome. Cyganie sami siebie nazywają Rom lub Rum; wszelako w ułamku pieśni, którą w roku 1881 spisałem z ust Cygana w Galicyi, znajduje się nazwa Czukanos. Anglicy nazywają Cyganów Gypsies, co jest zepsuciem wyrazu Egipcyanin; po francuzku, osobliwszym zaprawdę wypadkiem, Cyganie zowią się Bohémiens = Czesi, może dlatego, że jak do nas z Niemiec, tak do Francyi z Czech pierwsi Cyganie zawitali.

Obecnie najwięcej podobno Cyganów w Węgrzech, na Wołoszczyźnie i w Turcyi, gdzie są przeważnie muzykantami. W Galicyi i u nas rzadziej dają się napotykać; więcej ich było na Litwie, gdzie nawet w posiadłościach Radziwiłłów pod Mirem, istniała aż do początków bieżącego stulecia godność króla cygańskiego.

W Moskwie i Petersburgu Cyganie płci obojej mają wielką wziętość, jako śpiewacy; to też ten talent, obok innych zalet Cyganiek, przynosi im porządne dochody, nawet piękne domy i pałace, a niektóre z Cyganiek świetnym zamęściem dostępują wysokich tytułów.

Badania nad pochodzeniem i językiem Cyganów datują od niedawna i pozostawiają jeszcze wiele do zrobienia. Dopiero na początku naszego

stulecia, po uprzystępnieniu sanskrytu dla uczonych europejskich, lingwiści przysłuchując się językowi cygańskiemu, spostrzegli blizkie pokrewieństwo tej gwary z sanskrytem dawnych Indyi, a więc i z nowszymi językami szczepu aryjskiego, do którego należą także słowiańskie. Ztąd zaraz wypływał wniosek, że Cyganie musieli wyjść z Indyi, że tam musiała być ich pierwotna ojczyzna. Innych podstaw badań, oprócz języka, nie było, gdyż Cyganie, wyjątkowo wśród wszystkich ludów, nawet najdzikszych, nie przechowali żadnych wspomnień o dawnej ojczyźnie, żadnych podań religijnych lub bohaterskich, nawet żadnych tradycji obyczajowych, które mogłyby posłużyć za klucz do rozwiązania zagadki dla etnografa i lingwisty. Przechował się tylko ów język cygański, ale gwara to, oczywiście uboga, ograniczona do wyrazów oznaczających pierwsze potrzeby i najniezbędniejsze pojęcia ludu w pół dzikiego. Nadto, jak wszelka mowa, niemająca literatury, język cygański zmienia się i przetwarza w ustach każdego niemal pokolenia, nabiera odrębnych cech wymowy w rozmaitych krajach pod wpływem mowy miejscowej, wreszcie przesiąka wyrazami zapożyczonymi, a nawet wśród samych Cyganów wychodzi stopniowo z użycia. Nietrwale więc fundament badań, niemocna podstawa, lecz raczej możnaby ów język cygański przyrównać do piasków ruchomych, lub wąskiej ścieżyny w skale wykutej, gdzie stąpać trzeba ostrożnie, a nie trwałego zbudować niepodobna.

W ostatnich czasach o języku Cyganów pisali znani lingwiści Miklosicz i Max Müller. Wysłała też przed kilkoma laty po czesku, poświęcona temu przedmiotowi książka, niepomnę już jakiego autora.

Szczupły szereg tych prac powiększa obecnie nasz młody uczonec p. Kalina, profesor uniwersytetu we Lwowie, znany ze studiów nad językiem staropolskim i hymnem „Bogarodzica”. Autor wydał swą pracę po francuzku, niewątpliwie dlatego, aby uczynić ją przystępną dla szerszych kół uczonych europejskich.

Jest to bowiem praca ściśle naukowa, gramatyka języka cygańskiego (Cyganów słowackich), ułożona mozolnie i pracowicie, a systematycznie, o ile sam przedmiot systematyczności dozwolił, tu i owdzie nawet ze stanowiska gramatyki wyższej zbogacona porównaniami lingwistycznymi w dziedzinie filologii aryjskiej.

Przy końcu tego szkicu gramatycznego znajdują się małe wypisy cygańskie, kilkanaście opowiadań w tym języku, z dołączonym tłumaczeniem francuzkiem, a także mały słowniczek.

Sam wykład gramatyki, rzecz niewątpliwie ciekawa i pierwsza w tym rodzaju próba, może jednak zajmując tylko niewielu badaczy i dlatego w niniejszym sprawozdaniu rozszerzać się o tem nie będę.

Pozwolę sobie tylko wypowiedzieć dwa zastrzeżenia z dziedziny gramatyki porównawczej, w którą jak mówiłem, autor nasz często wkracza, a mianowicie: na str. 11 znajduję powtórzone dawne twierdzenie, jakoby języki słowiańskie nie miały głoski f, co wobec choćby takich np. niezawodnie rodzimych wyrazów, jak *obfity*, *ufać* (nie od niemieck. *hoffen*, gdyż po staropolsku *dufać*), *poufały* i t. d. a także wobec zamiany *w* w wymawianiu na *f* (brew, krówka), jest mocno wątpliwem. Na str. zaś 17 wyraz cygański *korako* (kruk), autor zbliża z greck. *korone*, zapomniawszy o bliższym *korac*.

Zakończenie przypadków i konjugacye przed-

stawiają rażące podobieństwo, dochodzące często do tożsamości, z odpowiednimi zakończeniami w sanskrycie i pozostałych językach aryjskich. W przytoczonych przez autora porównaniach i zbliżeniach mnóstwo materiału ciekawego, dającego niespodziewane wnioski: tak np. ktośby pomyślał, że przeczenie greckie *ma*, używane wyłącznie w formułach przysięgi, znajduje się także w języku cygańskim, albo że *balanos* znaczy po cygańsku *wieprzowaty*, co może jest pokrewne wyrazowi greck. *balanos* (żołędź) = pokarm trzody chlewnej.

Zbiór opowiadań i krótkich piosenek cygańskich może zainteresować każdego. Treść tu oczywiście, uboga, nie przekraczająca widnokręgu pojęć bardzo ograniczonego, tyżącego się najzwyczajniejszych warunków życia powszedniego. Słowniczek przedstawia się również interesująco. Zarówno jednak w wypisach jak i w słowniczku, francuzczyzna okazała się niedogodną, z powodu niedostateczności abecadła francuzkiego do oddawania brzmień, które z łatwością możnaby było oddać po polsku. Tak np. *laczto* (dobry), autor pisze *laco*, *zamba* (zamba), w franc. transkrypcji *zamba*, *manusz*, u autora napisano *manis* i t. d. Szkoda, że autor nie podał tych brzmień po polsku, choćby w nawiasie, z uwagi, że jego pracę czytać będą nie sami tylko Francuzi i cudzoziemcy.

Przeglądając słowniczek, znajdujemy niejedno uderzające podobieństwo. Tak np. *dives* dzień to łacińsk. *dies*, *drom* droga = greck. *dromos*, *gawioska* i po niem. *Gau*, jak oko, po litewsku *akis* (sansk. *akshi*), *manusz* mąż, tak i po sanskrycku i t. d.

W słowniczku mieszczą się tylko wyrazy, znajdujące się w przytoczonych opowiadaniach i piosenkach. Szkoda, że autor nie uczynił go zupełniejszym, wnosząc do niego wszystkie wyrazy cygańskie, których miał sposobność dowiedzieć się albo przynajmniej te wszystkie, które trafiają się w ciągu całej pracy, w części jej gramatycznej, podane tam jako wzory i przykłady.

P. Kalina uwzględnił w swej pracy wyłącznie prawie tylko język Cyganów słowackich. Mowa Cyganów galicyjskich musi znacznie różnić się od wymienionej gwary, jak wnoszę z porównania słowniczka p. Kaliny z zasobem wyrazów i wyrażeń, spisanych przezemnie w 1881 r. z ust Cyganów galicyjskich. Są tu znaczne różnice, tak np. *jutro* u p. Kal. *adadive*, w moich notatkach *abadie*; *ojciec* u p. K. *dad*, u mnie *dani*, *dom* u Cyganów słowackich *ker*, u galicyjskich *cher*, *głowa* w słowniczku *szer*, u mnie *szero* i t. d. Przeglądając zawarty również w notatkach moich spis całych frazesów dostrzegam pewną trudność, z którą zapewne musiał także walczyć p. Kalina, a mianowicie w rozdzieleniu na pojedyncze wyrazy całych zdań i frazesów języka niepiśmiennego, zaczerpniętych jedynie z ust cygańskiego proletaryatu, nie mającego wyobrażenia o gramatyce i składni.

Przytem dowolność pojedynczych osobistości lub odrębności ich w wymawianiu przyczyniają się do większego skażenia i przekręcenia tej gwary.

Skończywszy o zaletach i wadach p. Kaliny, do wad zaliczyłbym jeszcze brak szczegółowych wiadomości wstępnych o Cyganach, gdyż tego mało, co czytamy na str. 5: przytoczę tu piosenkę cygańską, również zapisaną przeze mnie z ust chłopca cygańskiego w Galicyi.

Cygan nie przetłumaczył mi tej piosenki, a i przy pomocy słowniczka p. Kaliny wyrozumieć jej nie mogłem; podaję tu ją więc w nadziei, że tym spo-

sobem wpadnie w oczy może p. Kalinie lub innemu jakiemu badaczowi mowy cygańskiej.

Oto ta piosenka:

Aj more, more! (*more* znaczy chłopiec)
So tu kiergieł,
Łacze per kiergieł (*łacze* znaczy dobry)
Name, name,
Czosze famo
Czukanos.

Podział wyrazów, według tego co mówiłem wyżej, o trudności pod tym względem, jest tu, oczywiście, tylko prawdopodobny.

L. S. W.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

** W ważnej kwestyi. Że wychowanie dziecka nie zaczyna się jednocześnie z nauką, lecz znacznie ją poprzedza, o tem wie każda z matek, a jednak ta zasada bardzo często lekceważoną bywa.

Przypowieść o naginaniu młodych pędów będzie wiecznie prawdziwą; zapytany przez jedną z matek jak wychowywać czteroletnie dziecko, Froebel dał kategoryczną odpowiedź: *Na wychowanie już jest za późno!*

Ważna to wskazówka! warto zastanowić się nad nią i przyjąć jako system w prowadzeniu dzieci.

Ustrzeże to nas w przyszłości od wielu trosk, rozczarowań i zawodów, które są następstwem owego spóźnienia, gorzkim owocem zasianym naszą ręką.

Jedną z wybitniejszych wad u malców, jest wrodzone a niewątpliwie bezwiedne okrucieństwo w różny przedstawiające się sposób. Najpospolitszym jego objawem jest udręczanie psów, chwywanie i zabijanie muszek, na wsi zaś ptaszków, motyli i t. p. Jakże niezbędną tu jest interwencja rodziców w formie lekcji o użyteczności wszystkich stworzeń, o dobroci Stwórcy, który te istoty do życia powołał, w razie zaś gdyby to nie pomogło, krnąbrnym dzieciom należy się kara wymierzona z całą surowością, bez uniesień lecz stanowczo.

Młociący umysł odznacza się niezwykłą wrażliwością, podobne fakty odbijają się w nim na całe życie, rozważy je przychodząc do rozumu, a w dojrzałym wieku własnym dzieciom za przykład je poda.

Skreśliłiśmy te słowa pod wrażeniem smutnego wypadku, jaki świeżo miał miejsce u państwa G. na Pradze zamieszkałych.

Piastunka, z polecenia swej pani przyszła rozebrać sześciolatniego Kazia i położyć do łóżka.

Malec opierał się, że spać nie pójdzie, a gdy piastunka nalegała, schwycił pogrzbacz i uderzył ją w oko tak silnie, że padła zemdlona, wydając straszny okrzyk.

Okazało się, że biedaczka straciła oko, a wszelka pomoc była już bezskuteczna. Okrutny dzieciak, gdy mu oznajmiono o skutkach jego porywczowości nie okazał najmniejszego żalu, rodzice zaś ze swej strony, uczynili co tylko było możliwe dla złagodzenia ciężkiego kalectwa.

Jakiej pociechy doczekają w przyszłości z dziecka, które pozbawionem jest szlachetnych uczuć i krzywdy wyrządzonej bliźniemu nie żałuje?...

Sam fakt przebicia oka jest dziełem wypadku, lecz towarzysząca mu obojętność, niezem upozoro-

wać się nie da, na pewno więc dziś powiedzieć można, że Kazio G. będzie złym człowiekiem.

**** Apetyczne.** Amatorowie solonych ryb, którzy ogromne transporty przybywają corocznie do Warszawy, tracą pewno gust do nich zupełnie, przeczytawszy w jednej z rossyjskich gazet szczegółowy opis manipulacji jaka przy soleniu się odbywa.

Nie zalecając naszym gospośm eksperymentu, który bynajmniej praktycznym nie jest, notujemy go tylko jako wzór pierwotnej prostoty i... niechlujstwa.

W Astrachaniu, gdzie połów ryb jest ogromny, robotnicy wyrzucają je z łodzi prosto do beczek, inni znowu udeptują butami, wcale na to uwagi nie zwracając czy buty są czyste. Błoto na nich się znajdujące miesza się z solą, której mnóstwo sypią do ryb, ale za to udeptane jest wybornie.

Ta mało skomplikowana manipulacja odbywa się wobec publiczności, która widać przywykła już do milego widoku, oswoiła się z nim i nie znajduje go tak barbarzyńskim, jakim on jest w naszym przekonaniu.

Smacznego apetytu!

**** Szkoła rzemiosł przy ulicy Jasnej,** należy do instytucji wyjątkowo może zasługujących na opiekę Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

Dochody szkoły stosunkowo bardzo niewielkie pokryć nie mogą wydatków na opłatę nauczycieli, mieszkania, materiałów, narzędzi i t. p., skutkiem czego rok bieżący wykazał niedoboru przeszło dwa tysiące rubli.

Przewyżka ta pokryta została przez protektorów zakładu, który jako wzorowo prowadzony i pożyteczny, zadaniu swemu w zupełności odpowiada.

W roku przeszłym liczba uczniów, po odrzuceniu tych którzy przed ukończeniem kursu wycofali się dla rozmaitych przyczyn, doszła do 137, w bieżącym zaś przybyło jeszcze 82.

Na zasadzie sprawozdania pana Jerzego Kühna, przychodzimy do wniosku, że ogół nasz z każdym rokiem poważniej zapatruje się na kwestyę bytu dla przyszłego pokolenia, a różnice stanów zacierają się coraz widoczniej.

Dziś już nietylko rzemieślnicy i arcybiedna klasa urzędnicza, lecz obywatele ziemscy i miejscy synów swoich do rzemiosł sposobią.

Przepełnienia długo jeszcze obawiać się nie należy, bo jeżeli w Warszawie rzemieślników jest dosyć, prowincya posiada ich za mało. Idzie więc tylko o to, by przyszli specjaliści grupowali się odpowiednio po całym kraju, korzystając z wskazówek o które Towarzystwo popierania przemysłu i handlu nieustannie się dopomina.

Niejedna z naszych czytelniczek oburzy się pewno na samą myśl podobnej kariery dla swego Niusia, Fonia i Ludka, przyszłość jednak okaże, iż nieświeżona z pozoru, zapewnia byt i niezależność, a to już bardzo wiele.

Możemy śmiało zaręczyć, że wtenczas gdy doktorów, adwokatów, inżynierów i t. p. posiadać będziemy aż do zbytku, rzemieślników pomieścić się da bardzo wielu jeszcze, a żaden z nich nie poskarży się na brak kawałka chleba.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

**** Mistres Weldon.** Czytelniczkom naszym znany jest zapewne głośny proces Gounoda z mistres Weldon.

Twórca Fausta korzystał przez lat kilka z gościnnego dachu i pomocy państwa Weldon, a piękny głos tej ostatniej niemało przyczynił się do upowszechnienia jego utworów. Nagle i bez słusznej przyczyny kompozytor porzucił swoich przyjaciół z Tavistock Square, wyjechał do Paryża i ztamtąd zapozwał Weldonów o zwrot pozostawionych rękopismów, oraz rzucił na panią Weldon potwarz, uwłaczającą jej godności. Paryżkie dzienniki w lot pochwyciły oskarżenie, pan Weldon zażądał od żony objaśnień i dowodów, że to wszystko jest kłamstwem, a gdy pani Weldon nie umiała go przekonać, zamknął ją w domu obłąkanych.

Nieszczęśliwa kobieta uciekła ztamtąd i dwa lata temu dowiodła przed sądem, w jaki sposób i za co dostała się pomiędzy waryatów. Wiadomo przecież, że dość było świadectwa dwóch doktorów, by uwięzić najzdrowszego człowieka w szpitalu obłąkanych, a straszne to prawo przyczyną mnóstwa nadużyć, dopiero za sprawą pani Weldon zreformowane zostało.

Pół roku już przeszło, jak skutkiem intryg Gounoda, za mniemaną potwarz rzuconą na niejakiemu Riviere, francuza, który uciekł z kraju by uniknąć galery, pani Weldon skazaną została na sześciomiesięczne więzienie.

Termin kary upłynął w połowie Września; wśród tłumów ludu obrzucającego ją kwiatami, pani Weldon kobieta bardzo jeszcze piękna, opuściła więzienie, skąd tryumfalnie w przepysznym landeau, witana głosami okrzykami, udała się do Hydeparku na meeting ludowy. Obecnie, mistres Georgina Weldon zamierza wstąpić do teatru i odegrać rolę w dramacie, który w więzieniu napisała.

**** Rozwój oświaty** odbywa się w Szwajcaryi w warunkach wyjątkowo pomyslnych.

Szkoły ludowe są we wszystkich miastach bezpłatne, lecz nie dość na tem, w niektórych kantonach, bezpłatną jest również cała nauka aż do uniwersytetu, inne znowu dostarczają młodzieży bezinteresownie wszelkich środków pomocniczych.

W kantonie Bern, gdzie zasada bezpłatnej nauki nie jest jeszcze wprowadzoną, odbyła się w tych czasach konferencya nauczycieli, na których wszystkimi głosami przeciw jednemu, uchwalono, aby przedstawić kompetentnym władzom wniosek, dotyczący bezpłatnego udzielania środków naukowych.

Nauka rzemiosł wprowadzoną jest we wszystkich berneńskich szkołach ludowych i daje świetne rezultaty.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Karolinie Ulymowskiej w Starwischczach. Kopiejk 30 pozostałe z rachunku, oddano biednej matce.

Pani A. Wy. w Lesznie. Panna Ludwika Rouher, która napisała oryginalną powieść dla „Przyjaciela Dzieci”, jest istotnie rodowitą Francuzką, córką ministra Rouhera, zwanego za czasów Napoleona III ekscesarzem.

ZAWIADOMIENIA.

PRZEGLĄD PEDAGOGICZNY

CZASOPISMO

Poświęcone sprawom wychowania szkolnego i domowego

N-r 19 wyszedł z druku i zawiera:

1. Uwagi krytyczne do „Mapy poglądowej Królestwa Polskiego” ułożonej przez Jadwigę Woycicką, skreślił Wacław Nałkowski.
2. Nauka rękodzieł jako czynnik wychowawczy, przez Józefa Siedmiograja.
3. Z dziedziny wychowania domowego. II. Doraźna pomoc dla nauczycieli domowych, przez Floryana Łagowskiego.
4. Korespondencya. II. Kraków 13 Czerwca.
5. Krytyka i bibliografia:
6. Rozmaitości:

Dodatek: Zadania na ułamki, S. Dicksteina.

PRACOWNIA

UBIORÓW DAMSKICH I DZIECINNYCH

ORAZ

BIELIZNY

Aleksandry Wojciechowskiej.

Ulica Chmielna N-r 63, miesz. 22.

Wykonuje roboty z największą dokładnością i po możliwie najniższych cenach.

PRACOWNIA

SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH

I. CHŁUSOWICZOWEJ

Nowy Świat N-r 56.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakresie tualety damskiej wchodzące, na obecny sezon, z materiałów swoich, jak również i powierzonych i wykonuje takowe z jak największą elegancją, podług najświeższych modeli jak również i całe wyprawy po cenach bardzo przystępnych. Tyloletnie istnienie zakładu przedstawia zupełną gwarancję co do sumiennosci wykonania.

Fabryka kwiatów i liści

Wandy Siwińskiej

otworzona w Paryżu w roku 1871, obecnie przeniesiona do Warszawy, Krakowskie Przedmieście N-r 65.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami, arkusz z krojami i prospekt „Słowa”.

Opis do N-ru 43.

(Dokończenie.)

N. 34. Sukienka z długim stanikiem dla małej dziewczynki.

Model przedstawiony na ryc. 34 odznaczał się gustownym zestawieniem granatowego dyagonalu z ciemnoniebieskim aksamitem i szlakiem przerabianym niebieskim z ponsowym, 10 cent. szerokim. Przody długiego stanika, zapięte z boku na kryte haftki, otwierają się szeroko na kamizelce w g6rce 2, u dołu 12 cent. szerokiej; wielkie guziki i ozdobne dziurki naszyte jako przybranie. Przyszycie sp6dniczki 18 cent. długiej, przykrywa okrągławy aksamitny pasek, z pod którego wysuwa się marszczona falbana oszyta haftem.

N. 35. Ubranie dla chłopca.

Dogodna bluza i kr6tkie majtki przypięte do staniczka spodniego s6 bardzo 6zywane dla ch6pczyk6w. W lecie szyci6 si6 z materyałów dobrych do prania, na ch6dniejsz6 por6 i na zim6 z cienkiego kortu lub z grubszego wełnianego materyału; jedyne przyozdobienie stanowi6 guziki lub co najwyżej pletnia. Na modelu szerokość majtek i r6k6w6w zw6zona była u dołu przez zaszyte drobnych fałdek; odpowiednio do nich dane s6 zakł6dki wzdluż przod6w; wykroj szyci dopelniony duzym pelerynowym kołnierzem pluszowym. Szarfa przerabiana w w6zkie pluszowe paski.

N. 36. Fartuszek z wyszyciem krzyżkowym.

Podw6jny fartuszek oryginalnie podpięty, uszyty z cienkiej z6łtawej kanwy kongresowej, ozdobiony 5 1/2 cent. szerokościami szlaczkami i wyszyciem brązowym i niebieskim jedwabiem, 6cigiem krzyżkowym. Spodnia cz6ść fartuszka w której szlak dany jest mi6dzy dwoma obr6bkami, liczy 60 cent. długości a 77 szerokości, zwierzchnia za6 40 cent. długości a 58 szerokości; obiedwie przy g6rnym brzegu marszcz6 si6 do 26 cent. i przyszyw6 do paska zaszytego w z6b na 6rodku i ozdobionego szlakiem wyszywanym. Przy g6rnym brzegu dodany plastron, w 6rodku 23 cent. wysoki, zakończony szlakiem. Zwierzchnia cz6ść fartuszka podpięta na bok kokard6 z wst6żki.

N. 37. Płaszczek form6 paleot6. Kr6j jak do ryc. 59 w N. 15 Tyg. M6d.

Płaszczek dopasowany podl6g wyżej wskazanej formy, może by6 zapinany z przodu lub z boku. Materyał zbywaj6cy przy plecach i tylnych bocznych zał6many jest w fałdy id6ce pod sp6d. Model z mi6kkiego brązowego cheviotu, obj6ty brązow6 pletni6; guziki rogowe 3 1/2 cent. 6redniej; kapturek urz6dzony do przypinania wył6żony pluszem jasno brązowym.

Opis do N-ru 44.

N. 1, 6, 15 i r. 33. Ubranie strojne wieczorowe z trenem przypinanym. Kr6j i tren oddzielnie patrz na arkuszu z krokami N. I, fig. 1—9.

Obok gustownego odrobienia i kosztownego materyału, model sukni odznaczał si6 niezwykle zestawieniem kolor6w; do atlasu czerwcnawo lila dobrany był aksamit trawno zielony; od którego pi6knie odbija koronka *Reti-cella*, 4 i 13 cent. szeroka. Odmiennie od fasonu 6zywanego w przeszłym roku, opr6cz trenu długiego przypinanego zwierzchu do plec6w, kraje si6 sp6dnic6 z trenem, ażeby takowy stanowił podpor6 pod tren zwierzchni. Model takiej sp6dniczki przedstawia fig. 9, a na fig. 7 dajemy mały model i miary kroju sp6dniczki, którą najpierw robi si6 gładk6 z atlasu, oszywa u dołu falbank6 aksamitn6 6 cent.

szerok6, podszyt6 atłasem i uł6żon6 w kontrafałdy. Prz6d sp6dniczki pokryw6j6 dwa bryty aksamitne, 60 cent. szerokie, sfaldowane i w pasek wszyte, mi6dzy kt6re wstawia si6 bryt drobno zaplisowanego atlasu, zajmuj6cy 13 cent. dolnej szerokości. Aksamit fałdowany zajmuje po 32 c.; szersz6 koronk6 naszywa si6 na fałdach brzeżnych i na plisowaniu u dołu sp6dniczki. Fig. 8 daje mały model i miary bryta, jaki daje si6 z obydw6ch stron po brzegach fałdowanego przodu; te bryty fałduje si6 w g6rce i wszywa w pasek, a brzegi tylne przyfałdowane podl6g znak6w do 60 cent. długości, wszywa mi6dzy bryty sp6dniczki. Na formie stanika danej w naturalnej wielkości na fig. 1—5, odznaczony jest cienk6 lini6k6 na fig. 1 i 4 wykroj z przodu w kwadrat a z tyłu spiczasto podl6żny, do którego dodaje si6 kołnierz koronkowy, jak to widzimy na ryc. 1 i 15. Na ryc. 33 dajemy stanik pod szyj6 z małym wykładanym kołnierzem. Na r6k6wach do ł6cia (ryc. 1) dwa wolanty z w6zkiej koronki złączone s6 z ruzsz6 3 cent. szerok6, uł6żon6 ze szneli trawno zielonej. Na ryc. 6 dajemy miary połowy zwierzchniego trenu, który podszywa si6 cały atłasem, skł6da w g6rce w fałty stoj6ce 2 cent. gł6bokie i przyszywa od F do gwiazdki, do brzeg6 bawetu przy plecach, a z bok6w podcina si6 w lekk6 buf6 od krzyżka do punktu. Ryc. 6 przedstawia wewn6trzn6 stron6 trenu, którego sute g6rne fałdy odsadza i podpira poduszka, w g6rnym brzegu podci6ta podl6g bawetu. Wst6żka w atlasie 2 cent. szeroka a 50 cent. długa, przszyta w miejscu oznaczonym dwukropkiem do trenu i do sp6dniczki, wi6że je z sob6. Dwa końce szarfy zrobione z podw6jnie złozonego atlasu, maj6ce 30 cent. szerokości a 130 i 150 długości, zakończone bogatymi kwastami, przszyte przy bocznych brzegach trenu, zwi6-

blado niebieskiej materyi ottoman, sp6dniczka podszyw6 kowa i stanik pod sp6d przykrojony z 10 cent. szerok6 okr6gl6 baskin6, zapinany z tyłu, odrobione były z bialego faille. Z przodu na tym staniku dany był drobno plisowany, 15 cent. szeroki plastron z blado niebieskiej ottoman, niedochodz6cy na 14 cent. do wykroju pod szyj6. Na wierzchu kładzie si6 kr6tki kaftaniczkowy staniczek, którego plecy wyci6te s6 u dołu w małe okr6głe z6by, a przody, matery6 podszyte, w g6rce z boku na 3 guziki zapięte, od dołu s6 otwarte. Tak stanik jak stoj6cy kołnierz i r6kawki, s6 z brzeg6w dla razy przest6bnowane. Razem z 220 cent. szerok6 podszewkow6 sp6dniczka, oszyt6 u dołu 6 cent. szerokim plisowaniem, wszywa si6 w pasek zwierzchni6, 450 cent. szerok6 sp6dniczka z loden, obł6żon6 u dołu 30 cent. szerokim pasem ottoman. Pasek od sp6dniczki przykrywa 6 cent. szeroki pasek kołlisty, zachodz6cy na biodra, pokryty w fałdy złożon6 matery6, zapięty z boku pod sut6 kokard6, złożon6 z dw6ch końc6w, 84 i 72 cent. długich i z pukla 50 cent. długiego, złączonych w6złem; wszystkie s6 z materyi podw6jnie złozonej, 30 cent. szerokie; do końc6 przyrabia si6 szerok6 wi6z6n6 frendzl6.

N. 3—4. Kapotka aksamitna.

Zgrabna forma kaputki pokryta była aksamitem brązowym; do ubrania ał6żyla wst6żka ottoman 2 1/2 cent. szeroka, w kolorze brązowym i łososiowym. Wst6żki te kład6 si6 w ten spos6b jedna na drugiej, że łososiowa wysuni6ta jest tylko jak wypustka z jednego brzeg6 z pod brązowej; tak opasuje si6 gł6wk6 i na szarfy bior6 si6 obiedwie wst6żki. Na 6rodku kapelusza przypięte s6 w g6r6 trzy kwiaty z pi6r sztywno stoj6cych brązowych ze złoconymi 6rodkami, i dwie rozety z pukielk6w, jedna z brązowej, druga ze wst6żki łososiowego koloru. Brzeg oszyty tor-sadk6 z perełek.

N. 5, 24 i 30. Kapeluszek z tkaniny robionej na warstaciku r6cznym tkackim.

Na modelu gł6wka kapelusza pokryta była matery6 tkany na warstaciku r6cznym, z nit6k z6łtych i szneli w p6czki przerabianej, a rondko pokryw6 tak6ż koronka z nitki z6łtej, szneli i z6łtego sznureczka. Pr6bki roboty obydw6ch dajemy w naturalnej wielkości na ryc. 24 i 30. Fasonik ze sztywnego tiulu pokryty był najpierw gaz6 z6łt6 jedwabn6, kt6ra ładnie przebijała z pod przezroczystej tkaniny. Przyszycie koronki pokryw6ly dwa rz6dy szneli ciemnoniebieskiej w p6czki wyrabianej; takiego koloru jest wst6żka, kt6ra na kokard6 alzack6 ma 9, a na szarfy do wi6zania 7 cent. szerokości. Kitka z pi6r i sznela dopelnia ubranie kapelusza, którego rondko od spodu podszywa si6 gładk6 ciemnoniebieskim pluszem skośnym aksamitem lub atłasem.

N. 7—9. Koszula nocna z podw6jn6 szmizetk6. Forma na arkuszu z krokami N. IV, fig. 23—29.

Model koszuli odrobiony był z cienkiego szyrtyngu i oszyty nician6, 7 cent. szerok6 koronk6. Zanim prz6d i plecy stanu zeszyte b6d6 podl6g znak6w, trzeba wpierw zał6żyć kontrafałdy z przodu na ramionach, a z tyłu na 6rodku plec6w i na 17—19 cent. długości zeszyte nieznanie z lewej strony. Do r6k6wa, który w stronie zwierzchniej kraje si6 w g6rnej połówce bez szwu, dodaje si6 mankiet przykrojony podw6jnie podl6g fig. 26, zakończony w g6rce paskiem prostym, 3 c. szerokim; zwierzchu na pasku przyst6bnowana jest patka, tak6ż podw6jnie przykrojona, podl6g fig.



N. 1. Suknia z trenem przypinanym. Patrz ryc. 6 i 15. Kr6j na arkuszu N. I, fig. 1—9.

zane s6 z przodu. Na ryc. 15 widzimy sp6dnic6 z aksamitu w pasy zielone i r6zowe bez zadnej draperyi.

N. 2. Suknia ze sp6dnic6 6 la paysane dla niedoroslej pani6nki.

Do modelu odrobionego z białego materyału loden i

27. Tak na mankietach jak i na szmizetce 6t6bn6wki d6wane s6 w odst6pie 1/2 cent. od brzeg6. Małe guziczki z konchy perłowej naszyte s6 na patce. Do ozdobnej podw6jnej szmizetki przecina si6 najpierw rozp6r na 6rodku przodu, nast6pnie przykrawa si6 podw6jnie podl6g formy



oznaczonej cienką linią na fig. 23, dwie połowy spodniej szmizetki i takowe przyszywa się do stanu, a brzegi zachodzące jeden na drugi zapina się na guziczki; następnie na prawej połowie szmizetki trzeba przystępnować od *y* do *z*, zwierzchnią szmizetkę, także podwójnie przykrojoną podług fig. 28, a zapinaną na guziczki przyszyte do lewej połowy pierwszej szmizetki. Na drugim brzegu naszyte guziczki dla ozdoby; w górze na środku wyhaftowany monogram.

N. 10—11. Broszki do zapięcia stojących kołnierzy.

Na ryc. 10 broszka srebrna z emaliowanymi szafirowo szlaczkami, w kształcie rozłożonej chustki do nosa; ryc. 11 przedstawia broszkę złotą w kształcie listka konieczyzny, na środku mucha z brylantów.

N. 12 i ryc. 14 w N. 45. Suknia z draperyą z chustek pledowych. Krój na dodatku z formami N. VIII, fig. 34—35.

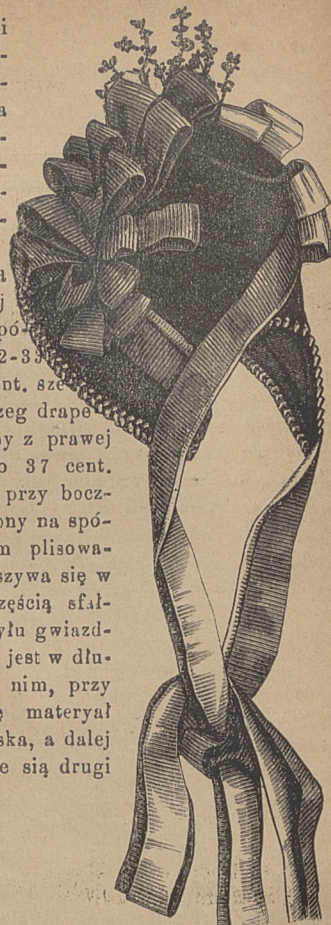


N. 3. Kapotka aksamitna. Patrz ryc. 4.

strony. Na fig. 34 dajemy model i miary chusteczkowego upięcia na staniku, pomiędzy którym z przodu widoczną jest część kamizelkowa, dodana z pluszu na staniku. Kołnierzyki i mankiety pluszowe, na rękawach dane oprócz tego paski szlaku i pasmanteryjne agrafy z jedwabiu oliwkowego i popielatego.

N. 13 i ryc. 13 w N. 45. Suknia z draperyą odmiennie upiętą z każdej strony. Krój i widok spodnicy z tyłu N. VII, f. 32—33.

Szlak haftowany, 20 cent, szerokości, zdobi cały dolny brzeg draperyi, której brzeg boczny z prawej strony przyfaldowany do 37 cent. długości, przyszywa się przy bocznym szwie z prawej strony na spodnicy, oszytej szerokim plisowaniem. Brzeg górny wszywa się w pasek częścią gładko, częścią sfaldowany, a w środku z tyłu gwiazdką do gwiazdki, zaszyty jest w długi pukiel. Tuż przy nim, przy liczbie 309, falduje się materiał poprzecznie, ściśle do paska, a dalej przy liczbie 354 falduje się drugi



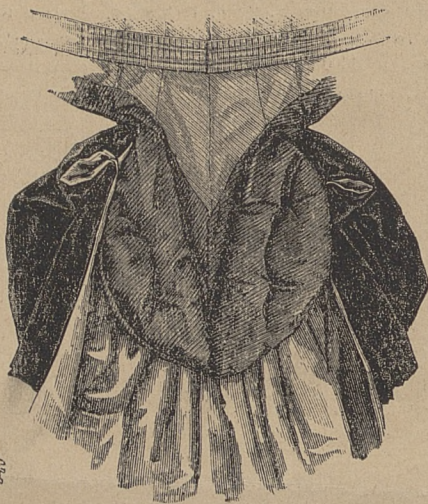
N. 4. Kapotka aksamitna. Patrz ryc. 3.

N. 5. Kapotka z materiału tkanego na warsztaku ręcznym. Patrz ryc. 24 i 30.

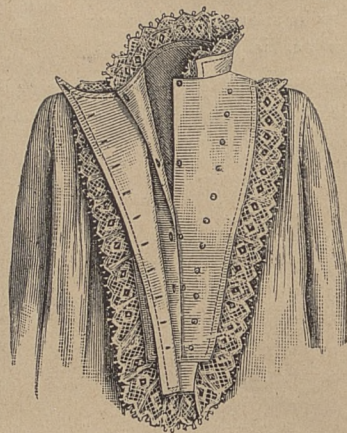
Na modelu do spodnicy z brązowego pluszu, stanik i draperya zrobiona była z dwóch chustek pledowych ciemno oliwkowo zielonych, z 10 cent, szerokości szlakami popielatemi; chustki oprócz frendzli trzymały po 140 cent, w kwadrat. Na małym formacie fig. 34 i 35 dajemy model części draperyi i miary obliczone bez frendzli; zbywający materiał służy na stanik. Na gładkiej spodnicy, na draperyę z przodu, górny ścięty róg trójkąta *a* falduje się do 8 cent, i wszywa w pasek, a róg lewy po-



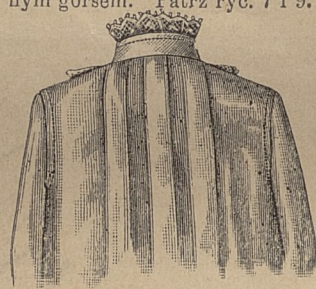
N. 7. Koszula z podwójnym gósem. Patrz ryc. 8—9. Krój na arkuszu N. IV, fig. 23—29.



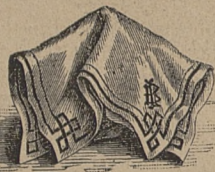
N. 6. Górna część trenu do ryc. 1; lewa strona.



N. 8. Koszula nocna z podwójnym gósem. Patrz ryc. 7 i 9.



N. 9. Plecy do ryc. 7—8.



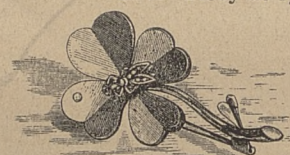
N. 10. Broszka srebrna.

dług znaków sfaldowany, wpuszcza się w odstępie 35 cent, od paska, pomiędzy boczny szew spodnicy. Część *b*, podług znaków sfaldowaną, kładzie się na wierzch w ten sposób, że brzeg lewy wpuszcza się między szew spodnicy, w odstępie 20 cent, od paska, a brzeg górny

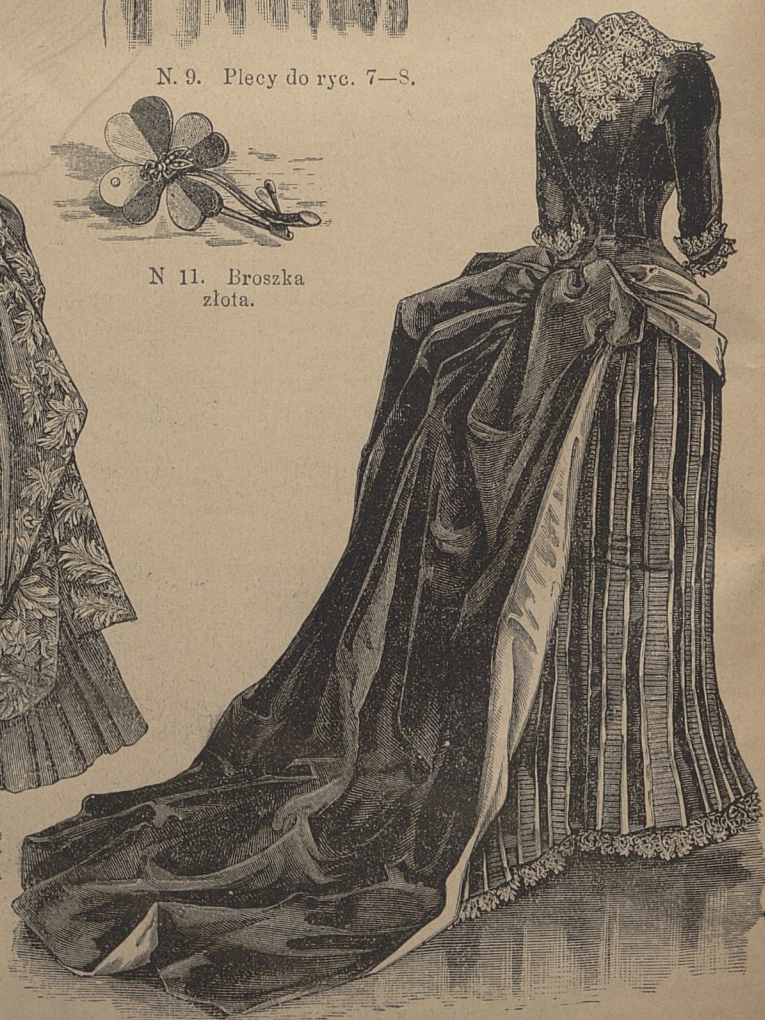


N. 12. Suknia z chustek pledowych. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 34—35.

N. 13. Suknia z draperyą odmiennie z boków podpiętą. Krój na arkuszu N. VII, fig. 32—33.



N. 11. Broszka złota.



N. 15. Suknia z trenem przypinanym. Patrz ryc. 1 i 6. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—9.

trochę w ząb spuszczone, nie powinien zbyt obcisnąć spodnicy. Z trzech brytów draperyi tylnej, także jeden na drugi spadających, bryt *spodni* c brzegiem górnym sfaldowanym przyszywa się na spodnicy, a bryty *d* i *e* marszczy się w górze i przyszywa poniżej paska. Bryt *d* falduje się w środku i podpina wysoko, a bryt *e* tylko trochę podnosi się z lewej

N. 14. Płaszczek z kapturkiem. Krój i przód na arkuszu N. II, fig. 17—22.

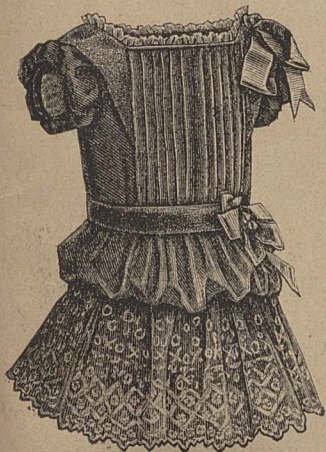
i na wykładanym kołnierzyku. Model sukni odrobiony był z trykotowego materiału w kolorze marynarskim, a szlak hafowany dwoma cieniami włóczki brązowej.

N. 14. Płaszczki długi z kapturkiem. Krój i przód na dodatku z formami N. III, fig. 17—22.

Model płaszczyka odrobiony był z grubego popielatego wełnianego materiału, na podszewce jedwabnej; kołnierz i obłożenie rękawów z popielatego aksamitu, którym pokryte są także guziki zdobiące patki przy kieszeniach, do zapięcia służą popielate rogowe guziki. Plecy z dobi podwójnie tkana tor-

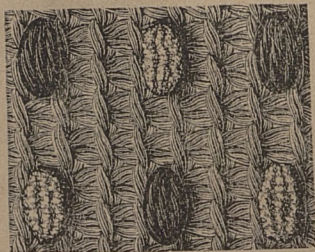
sada 1 cent. szeroka, naszyta w rzędy proste 51 cent. długie, z których trzy środkowe zakończone kwastami, 9 cent. długości. Szczegółnej baczności wymaga odrobienie kapturka, który kraje się razem z plecami, a krój ułatwia mały model f. 17a-19a. Same plecki dają się podwójnie; najpierw przykroić spodnią część, oznaczoną linijką na

fig. 18, a na tej od krzyżyku w górę naszyć część zwierzchnią w miejscu cienką liniijką naznaczoną i kapturek w ten sposób z naddanego materiału sfaldownić, ażeby brzeg boczny wierzchu wypadł równo z brzegiem spodnich pleców. Od c do dołu zeszywa się przody z plecami, następnie kapturek w fałdę wskazaną złożony, literą *f* do *f* przyłożyć, przymocować i ramiona zeszyć. Rękaw zeszyty z sobą od *i* do *k* wszyć do wykroju pachy od *i* do *c*, a od *c* do *l* naszyć szwem obrębkowym na plecach; dalej złożyć go podług linii przecięcia, część wystającą ułożyć na przodach literą *m* do *m* i *n* do *n* i przyszyć podług cienkich linijek. Górny brzeg kapturka podszyc listewką od spodu, fałdy w gó-



N. 27. Sukieneczka wyścięta dla dziewczynki.

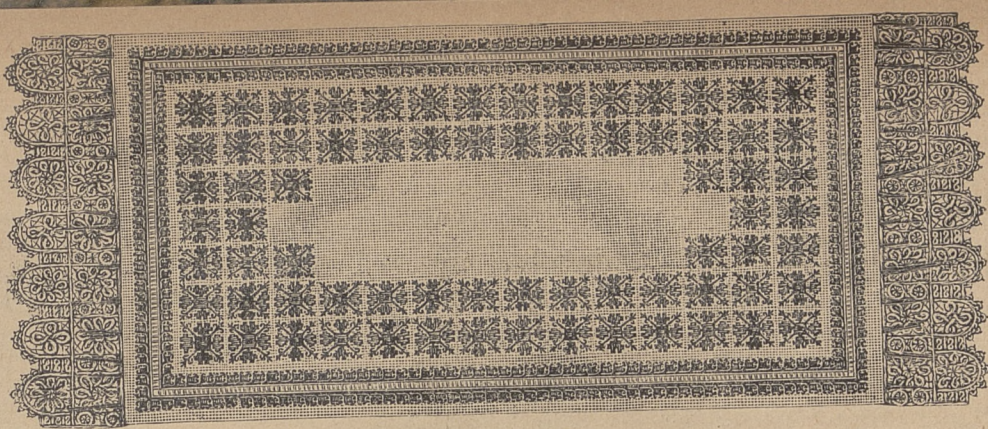
Haft krzyżowy i ściegiem pojedynczym na dwie strony, na grubym płótnie domowej roboty. Krzyżyki robione trzema nitkami filozeli zajmują trzy nitki płótna w kwa-



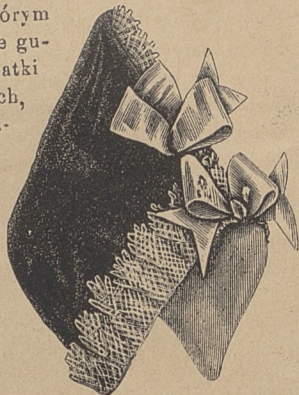
N. 29. Robota szydelkowa do ryc. 19.

nych rogach szyć kilka nieznanymi ściegami, a dalej w sposób wskazany na ryc. 14 punktem do punktu złożyć i nazewnątrz odwinąć. Kołnierz i patki przy kieszeniach przyszyć podług odpowiednich znaków.

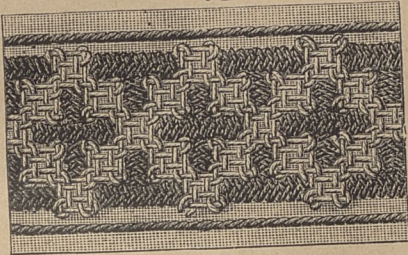
N. 16 i 23. Serwetka na środek nakrytego stołu.



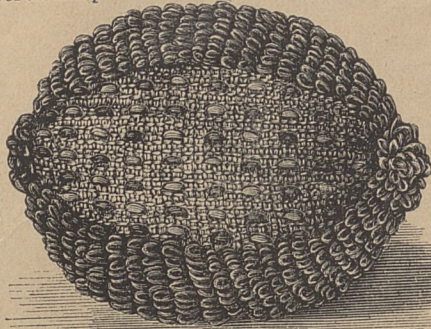
N. 16. Serwetka podłużna do położenia na obrusie. Patrz ryc. 23.



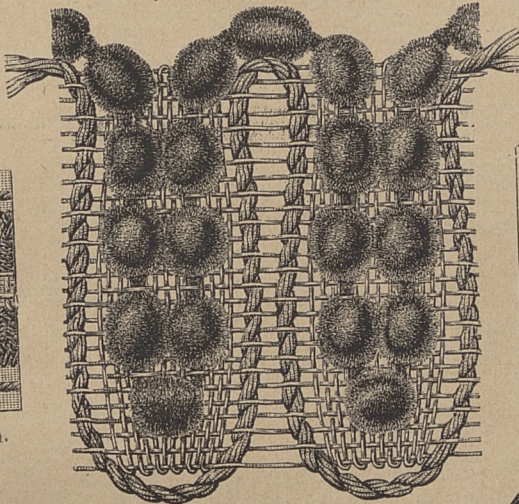
N. 20. Czepeczek ze szpiczastą główką.



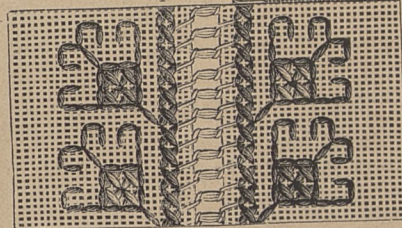
N. 22. Szlak ściegiem plecionym.



N. 19. Walek pod głowę. Robota szydelkowa i na drutach. Patrz ryc. 29. Forma na arkuszu N. VI, fig. 31.

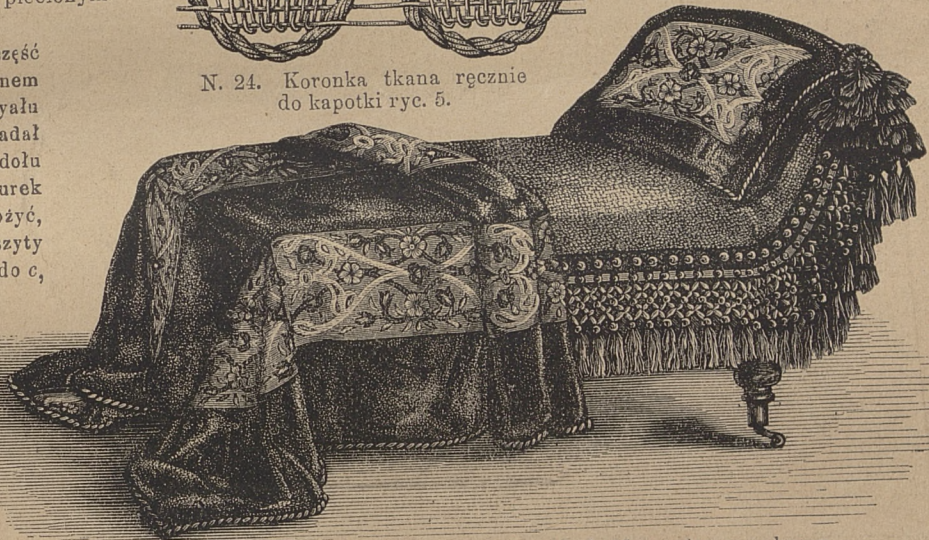


N. 21. Czepeczek z aksamitu, koronki i wstążki.

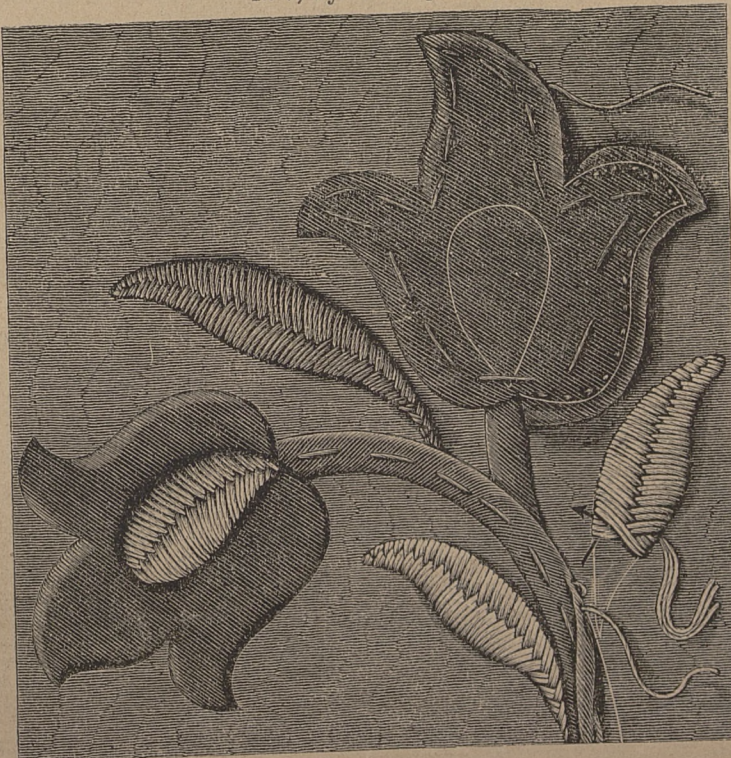


N. 23. Szlaczek do ryc. 16.

N. 24. Koronka tkana ręcznie do kapotki ryc. 5.



N. 25. Sofa z poduszką i kołdrą. Deseń na pas do kołdry patrz na arkuszu N. V, wykonanie patrz ryc. 26.



N. 26. Wykonanie aplikacji i wyszycia na pas do ryc. 25.

drat; ściegi pojedyncze robić dwoma nitkami filozeli. Na modelu użyta była do haftu filozela jasno oliwkowa, jasno i ciemno miedzianego i pawiego koloru. Deseń na szlak z oddzielnych figur na fig. 40, wążki szlaczek i kratka ażurowa na ryc. 23. Z brzegów dany obrębek 3 cent. szeroki, a brzegi poprzeczne oszyte koronką nicianą, 12 cent. szeroką.

N. 19 i 29. Walek kolisty pod głowę. Robota szydelkowa i na drutach. Forma na dodatku z krojami N. VI, fig. 31.

Forma ta służy zarazem do przykrojenia nasypki z inlektu, którą wyszcila się pierzami, jak i do odrobienia szydełkiem i na drutach zwierzchniego

pokrycia walka, które składa się z 6 kwaterok. Brzeźne kwaterki robi się na drutach znanym bankowym sposobem z włóczki angielskiej zielonawo popielatej, a środek zwykłym ściegiem tunetańskim z włóczki uzerwonawo brązowej; muszki na wierzchu wyszywa trzema długości ściegami naprzemian cieniłym kręconym sznureczkiem złotego koloru i ciemniejszą włóczką. Kwaterki zaczyna się robić od brzegów zwężonych, przybierając gubiąc podług formy, a następnie łączą się z sobą oczkami ścisłymi łańcuszkowemi. Pompony w końcach z mięszanych kolorów włóczek.

N. 22. Szlaczek wążki do ozdoby małych serwetek i t. p. Ścieg pleciony i krzyżowany na tle płóciennem domowej roboty. Na modelu ścieg pleciony robiony był bawełną żółtawo brązową a ścieg krzyżowany niemi białymi.

N. 25—26. Szeslong z poduszką pod głowę i kołdrą. Deseń haftu na dodatku z krojami i deseniami N. 1; próbka roboty na ryc. 26.

Na modelu odrobionym podług bardzo dawnych tureckich haftów, na tło użyty był perkal szwajcarski

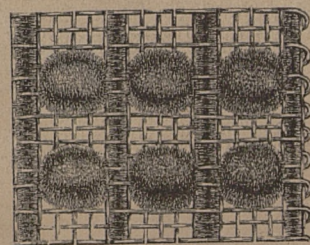


N. 18. Koronka robiona poprzecznie.

ponsowy i cienkie białe płótno, które jednak zastąpić radzimy tłem z atlasu, a na pasy gładkie do kołdry i poduszki użyć jedwabnego pluszu, aplikacje zaś dawać z materyi, bo atlas przy wycinaniu figur bardzo się strzępi. Na ryc. 26 dajemy próbkę haftu, którego dokładny



N. 28. Sukienka dla chłopczyka.



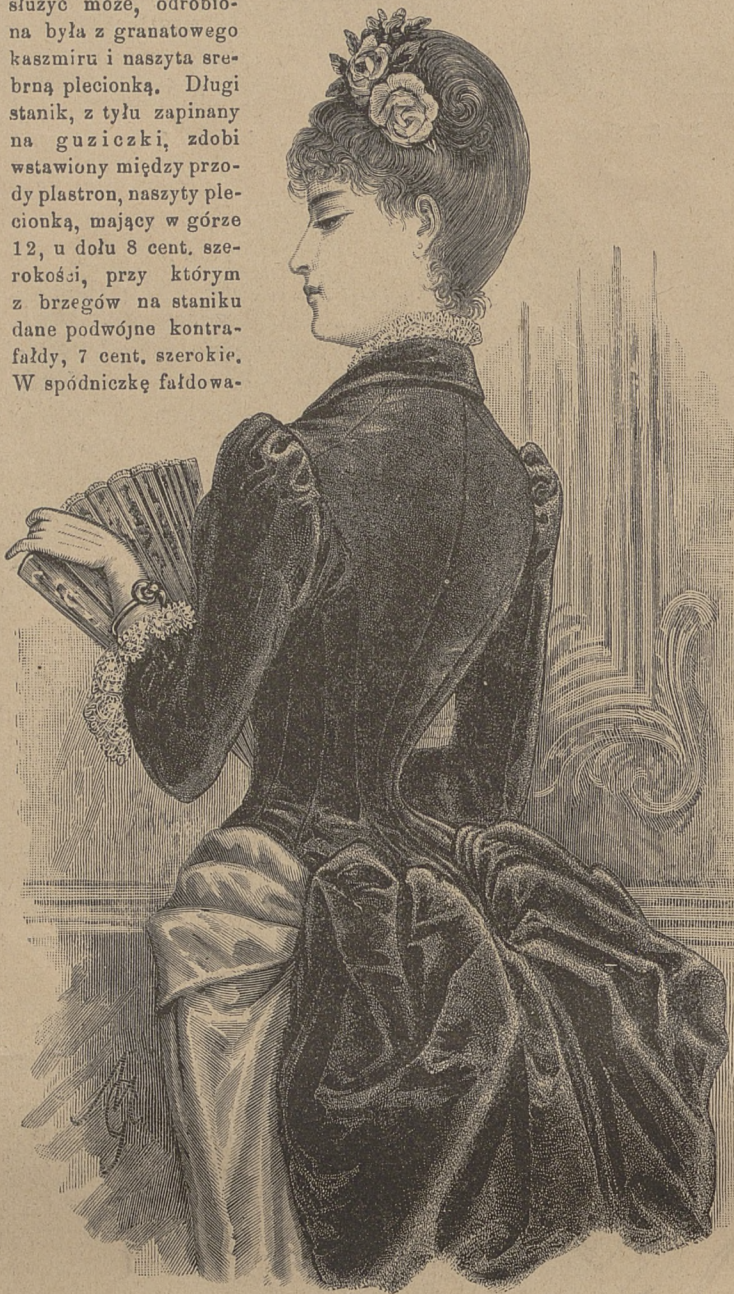
N. 30. Tło tkane na ręcznym warstaciku, do ryc. 5.

opis znajduje się na arkuszu z deseniami przy N. pierwszym. Spodnią stronę poduszki pokrywa się pluszem, a pod kołdrę daje się jedwabną podszewkę, która może być lekko podwatowana i pikowana.

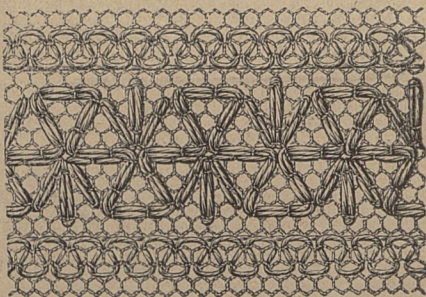
ponsową i niebieską. Ubranie stanika i pasek 3 cent. szeroki, zapięty z boku pod kokardą ze wstążki ponsowej i niebieskiej, był z ciemno ponsowego aksamitu. Plisy aksamitne, skośnie w końcach zwężone, przyszywają się na 11 cent. długości pod ostatnimi fałdami z przodu, na ramionach mają 4 1/2 cent. szerokości a z tyłu do 6 cent. rozszerzone, tworzą na plecach kołnierz spiczasty, rozchodzący się w środku.

N. 28. Sukienka pod szyję dla małego chłopczyka.

Sukienka, która zarówno dla małych chłopczyków jak i dla dziewczynek służyć może, odrobiona była z granatowego kaszmiru i naszyta srebrną plecionką. Długi stanik, z tyłu zapinany na guziczki, zdobi wstawiony między przody plastron, naszyty plecionką, mający w górze 12, u dołu 8 cent. szerokości, przy którym z brzegów na staniku dane podwójne kontrafałdy, 7 cent. szerokie. W spódniczkę fałdowa-



N. 33. Suknia z przypiętym trenem. Patrz ryc. 1 i 6. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—9.



N. 34. Wszywka wywodzona na tiulu.

na, 225 cent. szeroką, wstawiony jest takiz plastron, w górze 10, u dołu 14 cent. szeroki. Szarfę układa się z prostego, 24 cent. szerokiego kawałka, z przodu węzłem przepiętego, z tyłu ułożonego w kokardę.

N. 31. Ubranie dla chłopczyka. Krój jak do ryc. 8—10 w N. 41 Tyg. Mód.

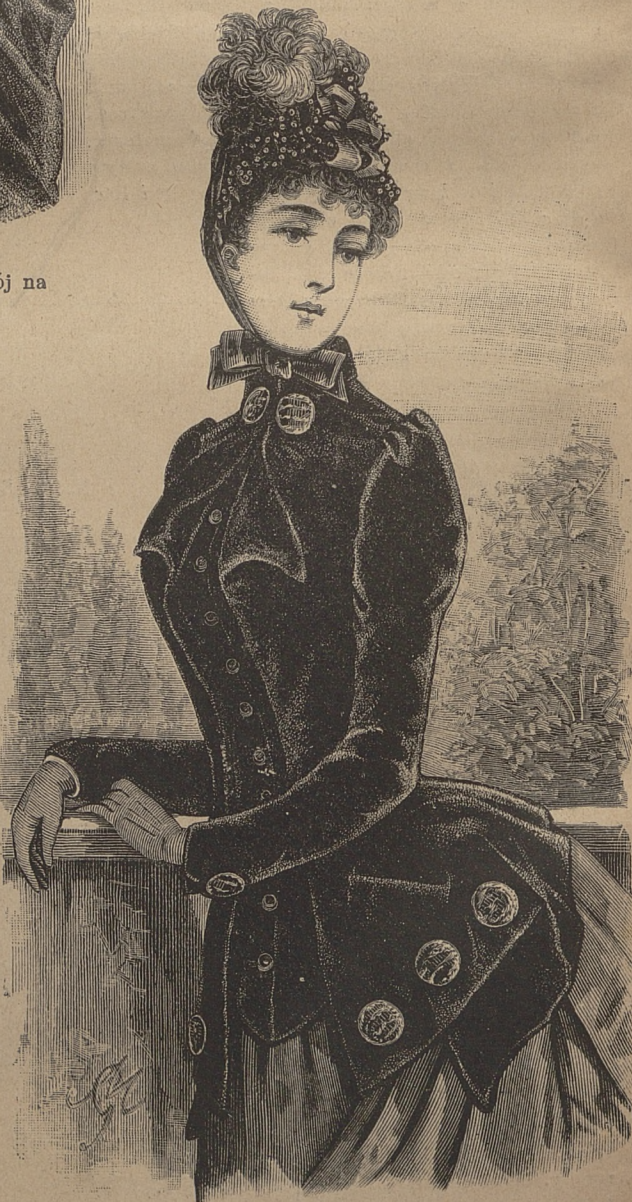
Model ubrania odrobiony z szorstkiego wełnianego szafirowego materiału, ozdobiony był kotwicami złotem wyszytymi i złotymi guzikami. Wyżej wzmiankowana forma służy do majtek i do podszewkowego stanika, a do żakietki tylko małych zmian wymaga. Obadwa przody dopasować podług cienkiej linijki, danej wzdłuż przedniego brzegu, a pod szyją trochę głębiej podciąć, ażeby kamizelka, na dwa rzędy guzików zapinana, którą przyszywa się do spodniego stanika, była widoczna. Także do każdego przodu dodać trzeba po 9 cent. materiału na fałdę 4 1/2 cent.



N. 32. Sukienka z przesytemi zwierzchu zmarszczkami (smock).

szeroką, w odstępie 10 cent. od dolnego brzegu daje się od spodu nacięcie, w które wsuwa się brzegi paska, 5 cent. szerokiego. Brzegi przecięcia trzeba zamocować. Kołnierz z ranwersami formą marynarską ma 12 cent. środkowej szerokości a 24 cent. długości w dolnym brzegu.

(D. n.)



N. 36. Ubranie spacerowe z pelotocikiem. Krój i plecy na arkuszu N. II, fig. 10—16.



N. 31. Ubranie małego chłopczyka.

N. 27. Sukienka wycięta dla małej dziewczynki.

Na gładkiej podszewce stanika, mającej z przodu 20 cent. długości, trzeba zwierzchni materiał plisować z przodu w górze na 14, poniżej wcięcia w pasie na 17 cent. szerokości, a na plecach przy zapięciu na guziki na 6 cent. szerokości z każdej strony, zaś poniżej plisowania ułożyć go w bufę 10 cent. szeroką. Spódniczkę mającą 118 cent. szerokości a 28 cent. długości, pokrytą całkiem wolantem haftowanym, mającym 142 cent. obwodu, przyszywa się do gładkiej podszewki stanika. Przy sukience z szafirowego wełnianego materiału, wolant haftowany był bawełną



N. 35. Ubranie strojne z kaftanikowym stanikiem.